

KAZIMIERZ HR. WODZICKI

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE

X

SŁONKA

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA

1929

240 2/500

61549

5.1.1

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE

KAZIMIERZ HR. WODZICKI

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE

X

SŁONKA

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA

1929

Biblioteka Instytutu Biologii
Uniwersytet w Białymstoku



B1B0010669



Przedruk z «Łowca», Lwów 1886



01549

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

«Słonka» drukowana była w «Łowcu» w r. 1886.

Monografia ta nie pojawiła się jednak ani w odbitce, ani w znanej serji «Zapisków ornitologicznych». Pragnąc uzupełnić tę lukę, Małopolskie Towarzystwo Łowieckie wydaje ją obecnie, jako ostatni (X) tomik tej serji.

Przodkowie nasi twierdzili, że każdy staje się na starość gadułą, co się i na mnie sprawdzić może, a nieśmiertelny nasz Fredro mówi: «Słyszeliście? No, to posłuchajcie!».

Występuję z opisem słonki, znanej wszystkim, rzeczywiście z niepospolitą odwagą, zdaje się bowiem, że przedmiot ten wyczerpany i nikt nie potrafi dorzucić nieznanych dotąd szczegółów. Jestem w tym względzie zarozumiały i śmiem twierdzić, że z życia i zwyczajów tego ptaka zdarłem niejedną zasłonę, odkryłem niemało tajników i mogę badaczom myśliwym podać wskazówki pożyteczne, wreszcie ułatwić polowanie na te ptaki. Poluję od lat 47, mogę się przeto nazwać nestorem myśliwych i mało mi kto wyrówna w liczbie lat. Wprawdzie jako strzelec, mogę być nazwany furmanem, który bicze kręci, ale moja namietność myśliwska zawsze równie gorąca, pulsacje na polowaniu równie gorączkowe, jak za młodych lat, a i ostatnia jesień jeszcze mnie obsypała słonkami. Po między mną a słonką jest jakiś niewytłumaczony łącznik sympatyczny, gdziekolwiek mnie bowiem Opatrzność uposażyła własnością ziemi, wszędzie znajdowa-

łem słonki jakby dla mnie wyłącznie przeznaczone, cóż więc dziwnego, że w myśli pieszczę uroczę leśne długo-dzioby! Toż samo dzieje się z czworonożną zwierzyną; ona za mną ciągnie, jak szczury za łapiszczurem, a tam, gdzie za mego gospodarstwa była jej obfitość, nowy nabywca po kilku latach skarżył się na brak zwierzyny.

W Krakowskiem, w Karpatach i na Podgórzu, wszędzie miałem i ubijałem słonki. W r. 1849, osiedliwszy się w okolicy zimnych Podhajec, w obwodzie brzeżańskim, dowiedziałem się, że tam tego polowania niema, gdyż tylko pojedyncze słonki się pojawiają. Po kilku latach, poznawszy lasy i odpowiednie miejscowości, wystudjowawszy czas i terminy ciągów, strzelałem 80 do 100 szonek rocznie. W r. 1857 zamieszkałem w Olejowie, gdzie polowanie na słonki wcale nie było znane, i do tej chwili padło na tym gruncie 4082 szonek. Były lata obfitego ciągu, miernego i nader skąpego, bywały też lata bez polowania. Najkorzystniejsze były w roku 1872, bo ubito 495, w roku 1873 — 436, w roku 1869 — 398.

Bywały ciągi, na których z wysileniem ubijaliśmy ledwie 80, 70, nawet 60 tylko szonek. Nawalne ciągi bywały zawsze w jesieni, na wiosnę zaś zwykle małe zdobycze przynosiliśmy do domu mimo troskliwego śledzenia. W przeciągu tych lat jedynie w dwóch wiosnach ubiliśmy wyżej stu szonek. Łatwo tę zagadkę rozwiązać, okolica na dziale wód wysoko położona, obfituje w śniegi, gdy więc na nizinach już się znajdują owe ptaki w znacznej liczbie, to tu lasy jeszcze

w śnie zimowym pogrążone, w jesieni zaś jako na kraniec lesistych przestrzeni z krzaczystymi pastwiskami, z rozrzuconymi lasami wśród łąk i pól, słonki przylatują jakby na dworce żelaznej kolei, oczekując pospiesznego pociągu czyli wiatru, sprzyjającego podróży. Kilkakrotnie zdarzało się nam zupełne wybić szonek, a po kilku dniach była znowu, jeżeli nie większa, to ta sama ich ilość. Niekiedy zajęci polowaniem w innych lasach lub gospodarstwem, nie mogliśmy zwiedzać ulubionych krzaków, to wtedy, bez przesady, naleciało tam 100 do 200 szonek, tak, iż nieraz po południu nikt naboju nie miał i musieliśmy mimowoli powracać do domu. Najwyższa liczba ubitych ptaków w kilku godzinach była 68.

Skutek zły lub dobry polowania zależy od miejscowości nawiedzanej przez słonki. Jeżeli z powodu zimna lub słoty zamieszkiwały lasy i strzelane były po drogach i linjach, to dawały nam nader słabą dziesięcinę; przeciwnie w dniach cieplejszych i na krzakach ponosiły straszliwe klęski. Mimo wrodzonej lekliwości i ostrożności, często niewystrzelane wczoraj, dziś bywały ubite, widocznie nie miały odwagi wędrować z przeciwnym wiatrem, ani się przenosić do sąsiednich lasów.

Gdym się już odważył opisać polowanie na słonki w Olejowie, to dodam jeszcze słów kilka o tego-rocznym ciągu, wiedząc, że Redakcja skwapliwie chwyta takie sprawozdania. Na wiosnę, po łagodnej zimie, pojawiły się pojedyncze słonki już 22-go marca.

Koło 30-go było ich znacznie więcej, a najlepszy ciąg odbył się między 6-ym a 12-ym kwietnia. Czas był słotny i chłodny, drogi śnieżno-błotniste, komunikacje z dalszemi lasami utrudnione, a na krzakach z powodu zimna słońce wcale nie było, ciąg był skąpy i z wysiłkiem ubiliśmy 29. Już minęły były trzy lata bez rozkoszy dla myśliwych, zdawało się, że ulubione ptaki obrały inny kierunek, omijając zabójczy dla nich Olejów. Ale obawę uspokoił ciąg z r. 1885. Pierwsze pojedyncze słonki pojawiły się od 21-go września do końca tego miesiąca, obfity ciąg zaczął się 5-go października i trwał do 26-go. — 5 października spotkaliśmy do 40-tu, w tych samych krzakach 12-go pojawiło się znowu 30, a 17-go trzeci ciąg najobfitszy odbył się w tej samej miejscowości i śmiało twierdzić mogę, że mało która słonka zdołała na wschód powędrować. W innych krzakach wystrzeliwane trzykrotnie, ponownie zapadały, a na zboczu krzaczystej, długości dwóch kilometrów przebywały od 28-go września do 25-go października, mimo srogiego prześladowania czterema polowaniami. Mili goście prawie przez miesiąc cały bawili u nas — ręka mi się trzęsie, gdy piszę — w gościnie i zostawili nam na pamiątkę 223 poległych. Niewątpliwie byłoby zastrzelonych 300, gdyby myśliwi byli w większej liczbie i dobrze strzelający, my zaś polowaliśmy tylko we czterech, a często we trzech. Wprawdzie znamy stanowiska i ulubione przeloty, wiemy, gdzie zapadają i jak je gonić wypada, jednak znaczna liczba przeleciała bez strzału lub też zdaleko od myśliwego.

Rozumny to ptak, myślący i korzystający z doświadczenia, pozna on w krótkim czasie grozę niebezpieczeństwa, określi sobie sytuację, wzniesie się wysoko i zniknie z oczów lub też poszyje w dalekie mioty już niedostępne.

Słonki ruszane kilkakrotnie z hałasem i strzelane chybnymi strzałami, niełatwo dadzą się ubić. Nader często na sam głos *tire-haut!* zrywały się, odlatywały daleko lub przez głowy chłopców cofały się w miot. Przypominam sobie w latach 1853, 1854 i 1855 słonki w brzeżańskim obwodzie tak wyuczone, że z nami formalnie igrały. Na trzech pagórkach dosyć gęstych, zwanych Garbami, zapadały licznie. Garby były podzielone łączkami zasłanymi literalnie ich pierzem. Otóż w czasie późniejszego polowania na pierwszy głos naganiaczów lub strzał, zrywały się i leciały do ostatniego *asylum*, gdzie spłoszone, już w świat daleki podążały i zaledwie po kilku dniach wracały na ulubione miejsca z ostrożnością jeszcze więcej wyrafinowaną. Słonki płoszone i strzelane niefortunnie można poznać z łatwością po ich zachowaniu się; nie tylko nie czekają na zbliżających się chłopców, lecz się zrywają tajemniczo, górują nad drzewami i lecą w dalekie mioty. Gdy spostrzegę taką słonkę, to na nią nie poluję i polować nie pozwalam. Są to wyuczone ptaki, męczące nas nad miarę, zajmujące dużo czasu, i chroniące się zrećnie od śmierci.

Ze wszystkich polowań umiłowalem najbardziej na słonki i mogę powiedzieć, że rzadko kiedy minęła

jesień lub wiosna bez sumiennego prześladowania tych ptaków, zawsze połączonego z badaniem ich życia, zwyczajów i ciagu. Czy atoli studjum ornitologiczno-myśliwskie, ta monografia słonki, znajdzie uprawnione miejsce w «Łowcu», czy łaskawi na mnie czytelnicy nie znudzą się i nie zawołają: jaki on nudny, jak się powtarza w tak oklepanym przedmiocie — niech rozstrzygnie Redaktor w własnym interesie, iżby naszych czytających myśliwych nie zniechęcić i naszego Towarzystwa nie uszczuplić. Myśliwstwo jest głęboką nauką, wcale jeszcze nie zgłębioną, pełne tajemnic i zagadek, a dziwnie łączy ono ludzi różnych sfer, budzi sympatje, wytwarza koleżeństwo, posiada magnes pociągający silnie myśliwych ku sobie i, siejąc swobodę, gromadzi ich w zastępy, ożywione jedną myślą z wytkniętym jednakowym celem, z znanymi środkami, bez szkody bliźniego.

Upierzenie, życie, zwyczaj. Przede wszystkim wypada ostatecznie rozstrzygnąć wątpliwość co do nazwy ptaka, pojawiającą się uporczywie w nowszych czasach. W r. 1880 umieścił Karol Brzozowski w «Łowcu» nader cenny opis polowania na słonki w Syrii północnej i szukał źródłosłowu słonki w tureckiej nazwie *czulluk* lub *sulluk*, jakoteż w rosyjskiej *sluka*, wreszcie radzi pisać *sląka* lub *slęka*. Gdybyśmy pisali *slące*, a nie *słońce*, zgodziłbym się na tę nazwę nieznaną tem łatwiej, że autor «Myśliwstwa ptaszego», wydanego w XVI-ym wieku, pisze już *sląka*. Nazwa ta musiałaby chyba pochodzić z *ląk*, i do nich

się odnosić, jako do ptaka na łąkach żyjącego, a w takim razie w błędby tylko wprowadziła, bo słonka ani przebywa na łąkach, ani też życie w nich spędza. Czesi mianują ją: *sluka*, a w niektórych wschodnich częściach naszego kraju zowią ją *sołokwa*. Kluk pisze *słomka* i ta nazwa dosyć rozpowszechniona u nas, lecz niema ona charakterystycznych znamion. Ktoś zapytany o wyjaśnienie tej nazwy, odpowiedział, iż przyczyną jest długość dzioba, podobna do żdźbła słomy. Inny pragnął dowieść, że nazwa pochodzi od barwy, podobnej do słomy. Rzączyński a za nim Konst. Tyzenhauz nazywają owego ptaka w swoich dziełach *słonką*, wywodząc tę nazwę od przelotów i ciagu słonek przy wschodzie i zachodzie słońca. Podczas licznych moich ornitologiczno-myśliwskich wycieczek zapytywałem nieraz strzelców i myśliwych prostaczków, jak nazywają leśnego długodzioba, jedni mówili *słomka*, drudzy *słonka*, ale na domaganie się objawienia powodu nazwy, odpowiadali, że lata i ciągnie przy wschodzie i zachodzie słońca. Na tej podstawie i ja też wnoszę, by nazwa: *słonka* przyjęta została.

Napozór zdaje się być śmiesznym opis upierzenia słonki, w rzeczywistości zaś wykazuje praktyka potrzebę jego, nie tylko z powodu różnaitości barwy, jakiej żaden inny ptak na wolności nie przedstawia, ale także dla studjowania dalszego tych rozlicznych odmian i ich przyczyn.

Hr. Tyzenhauz posiadał niepospolity dar jasnego i treściwego opisu ptaków, obok wskazówek, odzna-

czających cech, przy opisie jednak słonki talent ten jego nie wystarczył. Pisze on: «z wierzchu ruda, czarno i biało plamista¹⁾, czarniawo pręgowana i upstrzona, od spodu rudawo-biaława, brunatno-falisto pręgowana». Zaiste to określenie nie wyobraział upierzenia słonki, a ja twierdzę, że żaden pendzel, żadne pióro nie przedstawi dokładnie tego upierzenia, zmieniającego się nie tylko kolorytem, lecz i ułożeniem pierza na płaszczu. Nie tu miejsce zapuszczać się w drobne szczegóły, więc pragnę jedynie wskazać charakterystyczne oznaki przeważnej części tego dziwnie zmieniającego się upierzenia, zupełna bowiem dokładność zmuszałaby do opisania 8 do 10 barw i jeszcze spotykałyby mnie zarzuty niedokładności. Czoło popielate, przez głowę trzy czarne paski, przedzielone rdzawymi, nieco upstrzonymi ku karkowi; czwarty pasek rdzawo czarny bez wybitnego koloru, od dzioba policzki cielisto-żółtawe, na bokach szyi plamki czarne, posuwające się do nasady dzioba i ku oczom. Płaszcz rdzawy z dużymi, aksamitno-czarnymi, graniastymi plamami, wśród upierzenia znowu plamy rdzawe i ciemno-popielate, które tworzą nierówne pasy, niekiedy zygawkowate, lotki rdzawe, czarno-pręgowane, spód żółtawy, białawy, jasno-rdzawy lub jasno-szary, brunatno gęsto pręgowany. Ubarwienie płaszcza przedstawia roz-

¹⁾ Hr. Tyzenhauz, pisząc białoplamista, wprowadza w błąd czytelnika, który na płaszczu nie dopatrywał białego koloru i nadaremnie szukać go będzie, znajdzie chyba na spodzie sterówek, innego pierza białego słonka nie posiada.

liczne odmiany w kolorystyce i w układzie tych pasków, bo niekiedy przeważają czarne, rdzawe, to znowu popielate, pochodzące z upierzenia, lub z ułożenia piór, które wtedy inny obraz dają. Spód z przejściami od brudno-białego koloru, żółtego, szarego do jasno- czyli żółto-rdzawego przez krocie odcieni z pręgami gęstszymi lub rzadszymi, zaledwie widocznymi. Kuper brunatno-rdzawy, podogonie jasne, ciemno upstrzone, sterówki, w liczbie dwunastu, czarne, z końcówkami rdzawymi, pod spodem z okrągłymi śnieżno-białymi plamami. Wszystkie słonki od siebie odmienne i wiele w nich szczegółów odrębnych, tak poza łótkami na samej krawędzi osadzone twarde, szpiczaste, elastyczne pióro, pół cala długości, wcale nie wskazuje celu i użytku. Za moich młodych lat używano tych piórek jako pendzli, wszyscy je zbierali, a nawet była chwila pokupu na nie; jako niedogodne dzisiejszej sztuce, poszły w zapomnienie. Dziób również inny, jak u reszty błotnych ptaków, trzy cale długi, przy nasadzie sześć linii wysoki, staje się ku końcowi szczuplejszy i zaokrąglony. Dziwnie giętki cały; ku końcowi rogowej twardości, wycięta na $1\frac{1}{2}$ linii część wierzchnia tworzy haczyk, do którego przylega dolna szczeka. Celu tego mechanizmu jeszcze nie znamy, służy oczywiście do wydobywania owadów w ziemi i w łajnach. Dziób szaro-cielisty, ku końcowi ciemny, po śmierci staje się szarym, traci swą elastyczność i wydaje się o połowę cieńszym, jak był za życia. Nogi silne i dość grube, podobne do kuropatw, z tą różnicą, że palce dłuższe,



a średni najdłuższy. Kciuk dotyka ziemi, pazurki zagięte i dosyć ostre wskazują cel drapania ziemi przy szukaniu żeru, czego u innych ptaków błotnych nie dostrzegamy. Kolor nóg cielisto- lub szaro-oliwkowy. Oko wysoko osadzone, nieproporcjonalnie duże i wypukłe z ciemną tęczą, błyszczące i czarne, jak korale, przyczynia się do wytworzenia oryginalnej ptasiej postaci, wzbudzającej naszą ciekawość. Cała skóra pokryta gęstym, miękkim, ciemno-popielatym puchem, dokładnie pod pierzem ukrytym i ten to meszek, jak futerko delikatne, chroni słońkę od zimna i usprawiedliwia pobyt jej na głębokich śniegach i w dokuczliwych mrozach.

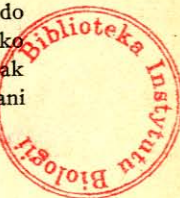
Ubarwienie słonki, jej harmonijnie marmoryzowane pierze bawi mile oko; gdy się pojedyncze widzi, zdają się być jedna do drugiej zupełnie podobne, ale, rozpatrzywszy się bliżej, widzimy w każdej odmianę, a gdy cały szereg ich przed nami leży, wtedy dopiero przedstawia się nieskończona liczba różnic, odmian i odcieni nietylko na płaszczu tak dziwnie marmoryzowanym, na którym rdzawy kolor, czarny, to znowu popielaty góruje, lecz ptaki, na grzbiecie leżące, wykazują ubarwienie na brzuszkach w stokrotnych odmianach i tu istotnie *varietas delectat*.

Słonka zmienia swe pierze dwa razy w roku, na wschodzie raz, u nas częściowo drugi raz, poczynszy od sierpnia postępuje pierzenie stopniowo aż do czasu odlotu, powracające zaś jeszcze niekiedy w kwietniu okazują niedokładne wypierzenie. W moich notatkach

wyczytuję spostrzeżenie, nieraz powtarzane, o rocznych i świeżych piórach, pomieszanych z dawnymi na ptaku. Znanym jest pierzenia postępowanie, mianowicie gdy ptak silny i na obfitym żerze, szybko ono i w krótkim czasie następuje, u ptaków chudych i podróżą wyniszczonych dzieje się przeciwnie.

Pierwsze lotki w stosunku do drugorzędnych szpiczaste i długie, tamte zaś krótkie i zaokrąglone, co czyni słońkę w locie podobną do sokolika z wyciętymi skrzydłami. Słonka jest wielkości kuropatwy, wydaje się jednak o wiele większą z powodu długości lotek, które ogona nie przykrywają. Do nas przylatują wyjątkowo małe słonki, ledwie nieco większe od dubelta, częściej na wiosnę, niż w jesieni, są one znane i w Niemczech, z ubarwieniem podobnem do naszych i ciemniejszego upierzenia. Przypominam sobie wiosnę, w której do krzaków mojego rewiru przyleciało ich kilkadziesiąt, były nielekliwe, poddawały się gonieniu i ginęły stoiczną śmiercią. Niestety, przypadły wówczas święta Wielkiejnocy, po których już ich nie było. Często znajdowałem słonki w małych stadkach, ciągu drugiego znaczniejszego nie pamiętam¹⁾. W jesieni najpóźniej ciągną, na wiosnę nie śpieszą się do letniego mieszkania, co nasuwa mi przypuszczenie, że

¹⁾ Niektórzy przypuszczali, że ta mała słonka bywa do nas zaganiana przypadkowo z Ameryki, bo znana ona jest jako słonka amerykańska (*scolopax minor*), przypuszczenie to jednak jest mylne, gdy zaatlantycki ów ptak nie posiada pasków ani też pręgów na głowie.



te ptaki gnieźdzą się na północy na granicy śniegów i lodów ze skąpem wyżywieniem i nader krótkim czasem do wykarmienia piskląt i do ukończenia wypierzenia, przy dalekiej i męczącej podróży. Widocznie lecą innemi szlakami, jak nasze słonki, kiedy się u nas tak rzadko pojawiają, muszą być do tego zmuszone przeciwnymi wiatrami. Kto na te uroczę ptaki kiedy polował, musi gorąco pragnąć owych wiatrów, napędzających nam słonki.

Przystępuję do oznak płci słonek. Tu nasuwają się trudności, dla mnie dotąd nie do przełamania. Nie raz zdawało mi się, że mogę odróżnić z pewnością samca od samicy, a ostatecznie okazało się, że byłem w błędzie, więc na podstawie mego doświadczenia ośmielałem się twierdzić, że nikt nie może oznaczyć stanowczo i nieomylnie płci u słonki. Autorowie i myśliwi twierdzą, że u samicy krawędź skrzydła, jakoteż spód ciała o wiele jaśniejsze; są to jednak oznaki niepewne i niedostatecznie określone, według mego zdania bez skalpela i anatomicznego rozbioru trudno z pewnością stanowczo mniemanie wyrazić. Samice są niewątpliwie o wiele większe i nieco rdzawsze, niekiedy lecąc pod promieniami słońca, przedstawiają koloryt pierza złotordzawego, rozmiary wszakże słonki mogą nas jedynie po dokonaniem porównaniu i zestawieniu pouczyć. Niemniej szczególne i to w tym ptaku, że młode od rodziców nie różnią się upierzeniem, barwa też jesienna zupełnie do godowej podobna. Młode ptaki miewają krótsze dzioby i, jak mi się zdaje, są nieco mniej-

szych rozmiarów, jednak nauczony doświadczeniem, iż przyroda często nas mami i wprowadza w błąd, karcę naszą zarozumiałość i obala nasze pseudopewniki, nabyte kilkoletniem badaniem, jak domki z kart postawione, nie śmiem podać stanowczej różnicy samca od samicy. Między krociami rozczarowań i pouczeń, jakich doznałem jako ornitolog i myśliwy w mem badawczem życiu, zapisuję tu jedno z ciekawszych.

Zwykle po skończonym miocie każę opatrzyć zające, w celu stwierdzenia, ile ubito samców i samic, co uważam za rzecz nader pożyteczną. Owoż po kilku latach badania zdobyłem przekonanie, że siwe, duże zające są samcami staremi, chcąc przeto pomnożyć stan zajęcy, uprosiłem mych miłych towarzyszy, iżby tylko do białych strzelali, a oszczędzali rude i płowe. Jakież było moje zadziwienie, gdy na 27 zajęcy białych okazało się 19 samic, a ja upokorzony wyznać musiałem, że poprzednie doświadczenie moje było błędne. Nie zniechęcony tym wypadkiem, badałem dalej, a wynikiem tego badania było, że podczas ostrych zim bywa więcej białawych czyli perłowych zajęcy, a kolor turzycy wiele zależy od miejscowości i gatunku gruntu, na którym zające żyją.

Z ptaków znanych mi słonka bardziej podlega odmianom pstrych, jak inne; bywają nakrapiane, przez połowę białe, żółte, płowe, niekiedy z białemi lotkami. W ciągu lat długich z pewnością 6000 owych ptaków leżało przede mną, a oprócz jednej, mającej w prawem

skrzydle cztery białe lotki, nie znajdowałem odmian, widywałem je tylko w zbiorach. Dowód to jasny, jak rzadko wydarzają się odmiany.

Życie słonki niepodobne do życia innych ptaków, jest ono zupełnie oryginalne. Sowa postać głupkowata, lecz tylko pozornie, ostrożna ona, myśląca i korzystająca z nabytego doświadczenia, doskonale widząca i słyszająca, musi się żywić bez wysilenia, jak najczęściej ptaki okrągłe, ale na mięsie nie bywa osadzony tłuszcz, jak u kszyków i dubeltów. Niby to ciężki, niezgrabny i ospały ptak, nadęty z napuszczonem pierzem, ze zgietymi w kolanach nogami nakształt kaczki, brzuchem niemal ziemię ociera, z piersią zawsze wypiętą, przytem długi, karykaturalny dziób, pionowo ku ziemi spuszczone, przedstawia pocieszny widok. Jednak przy najmniejszym alarmie staje się wysmukłą, stwarza sobie wysokie nogi, głowę podnosi, chyżo się rusza, błyszczącemi, czarnemi oczkami, jak koralami, zerka na wszystkie strony, dziwnie się przeistacza. Uznając istotne niebezpieczeństwo, podbiegnie kilka kroków, podskoczy, rozłoży lotki, a upatrzawszy miejsce огоłocone z liściastego baldachimu, wznosi się lekko i zręcznie, w zwrotnym locie okazuje myśliwemu swe powietrzne ewolucje i krocie niespodzianek, nigdy przewidzieć się nie dających, a drażniących, niecierpliwających aż do stopnia gorączki. Zapadając, zatrzymuje się chwileczkę w powietrzu ponad drzewami, rozpościera skrzydła i nakształt balona spuszcza się na ziemię; postoi, podsłucha, podbiegnie i przez dłuższy czas

bacznie obserwuje i rekognoskuje, zanim pocznie żerować.

Mylne to zdanie, że słonka w dzień jasno nie widzi i że ma właściwość widzenia w nocy; przeciwnie, posiada bystry wzrok, w nocy zaś śpi, jak każdy ptak. O bystrości wzroku dostatecznie przekonali się myśliwi, widząc, jak słonka wykryła najmniejszy nasz ruch, co też nas zmusza do wielkiej wobec niej ostrożności. Słonka, mając oczy w tyle osadzone, nie widzi w locie przed sobą w kierunku dzioba tak, jak bieżący na sztych zając, a gruba dosyć osada dzioba zasłania jej widok, ale widzi doskonale w innym kierunku. Często na polowaniu słonka, lecąca nad ziemią, przeleci o parę stóp od człowieka i dopiero zwróci się w dalszym locie. Jak dostrzega najmniejszy nasz ruch, tak też każdy szelest i głos zwraca jej uwagę. Nieraz o tem się przekonywałem, gdy, zakryty drzewem, świstałem lub pomrukiwałem, widziałem wtedy, jak słonka wyteżała swą uwagę, aby wykryć miejsce, z którego ów głos ją dochodził. Mało jest ptaków, poświęcających drzemce tyle godzin, czasem z zamkniętymi oczami lub z głową ukrytą pod skrzydłem. Nieraz przed wyżłem dziwiło mnie twarde dosiadywanie słonki, podszedłszy zboku, przekonywałem się o jej drzemaniu. Widocznie z łatwością się żywi i dosyta najada, a lataniem porannem i wieczornem męczy się, więc potrzebuje odpoczynku.

Już przed zachodem i wschodem słońca wybiega na drogi, linje, łączki i haławki i jeżeli znajduje żer,

pozostaje na ziemi, żerując z powagą; przy skąnym zaś żerze zrywa się i leci na pastwiska i role, niekiedy szuka pożywienia przy brzegach leśnych łąk, szczególnie szuka miejsc, na których się bydło pasło, gdyż w larwach, jajach i żukach, znajdujących się w łajnach, główne jej pożywienie. Jeżeli daleko odleciała od swej dziówki, to kilka godzin przedrzemie na miejscu, a nad ranem znowu żerować pocznie, gdy zaś blisko, to na noc powraca do swych wybranych krzaków. Słonki latają nie tylko za żerem, lot wieczorny i poranny jest dla nich potrzebą, więc lecą w pole, powracają do krzaków, okrążają lasy, wznoszą się ponad drzewa, to znowu szyją po linjach i drogach, lub, chrapnawszy kilka razy, kołyszą się w powietrzu, wkońcu, wachlując skrzydłami, wolno się posuwają naprzód. Czasem siadzie słonka nad kałużą, obiegnie dokoła, zrywa się i pędzi dalej, aby znowu na chwilę zapaść. Noc ciemna i wschodzące słońce, to dla słonek capstrzyk, po którym już nie wolno bujać w powietrzu. Jasnych miejsc, pól i światła słonecznego lękają się i trzeba kilkakrotnie płoszyć słonkę, aby ją zmusić do wylotu na czyste, a przytem straszliwie się boją pierzastych drapieżników, na widok ich, jak piłki, padają na ziemię i pozostają na niej nieruchome. Aby poznać należyte bystrość wzroku i zręczność lotu u słonki, trzeba widzieć strzałami spłoszoną, gdy szyje wśród konarów staro-pniowego lasu, nie potracając nigdy o gałęzie, widocznie las jest jej ojczyzną, w której wzrasta i którą zna dokładnie.

Jak kolor turzycy zajęcia stosuje się do gatunku gleby, którym go dobroczynna przyroda dla bezpieczeństwa uposażyła, tak również zdobi ona słonkę barwą, która ją czyni niewidzialną i chroni od napaści człowieka i zwierząt drapieżnych. Liście brunatne w najróżnorodniejszych odcieniach, leżące na ziemi, nie różnią się od słonki i jeżeli się ona nie ruszy, to można na nią nastąpić i nie zobaczyć jej. W lecie znajduje się to asylum w górskich lasach bukowych. Nie raz przekonałem się o podobieństwie słonki do gruntu, na którym żyje, z tej też przyczyny zabita słonka, bez wyżyła z ostrym wiatrem, często przepada, zdawałoby się, że pod ziemię zapadła, a ona leży na liściach. Zdawało mi się szukać z naganiaczami, chciwymi nagrody, przez długą chwilę zastrzelonej słonki bez skutku, a później przekonaliśmy się, żeśmy ją kilka razy mieli pod nogami. Nie dniuje też nigdy w trawach lub na mchach zielonych, lecz trzyma się wyłącznie pokładu zgniłych liści. Gdy dla żeru wbiegnie w miejsce, na którym staje się widoczną, to przy najmniejszym alarmie ucieka. Zna ona dokładnie sposoby zabezpieczenia życia już to trzymając się brunatnego gruntu, już tuląc się do zgniłych pniaczków i chroniąc się między korzenie. Pocieszny to widok, gdy umyka pośpiesznie między naganiaczami, wtedy upatruje barwę podobną do niej pniak i tuli się do niego z widocznym zadowoleniem. Setki razy przypatrywałem się tym manewrom, a niekiedy przy bucie moim przyległa do pniaczka, lub w krzak się schowała; w takim razie zdeterminowana

jest przeczekać groźne niebezpieczeństwo i jeżeli chłopak w krzak nie uderzy, lub nogą jej nie wypłoszy, to przywaruje i nie podniesie się. Widoczna tu myśl, korzystanie z doświadczenia i plan ułożony w celu ratowania życia. Dziwną właściwość posiada słonka, postrzelona i w rękę trzymana, ze strachu czy z gniewu otwiera do połowy dziób, wierzchnią część w kabłąk wygina, przyczem od połowy do nasady dziób zamknięty. Zrywaniem się słonki czyli podlatywaniem wydaje głos, dający się naśladować szybko powtarzaniem: *wa, wa, wa*, można sądzić, iż klaszcze skrzydłem o skrzydło; kto zna te tony, wie, nie widząc słonki, iż się podrywa. Niespodziewanie wypłoszona mruknie lub stęknie zrywając się, wydając głos, przypominający objaw trwogi u dubeltów.

Słonka wcale nie jest towarzyską, widocznie rozmówczona w samotności, rzadko zdarzy się znaleźć kilka w stadku, najczęściej lata i żeruje pojedynczo, nie troszcząc się o towarzyszek. Po wychowaniu piskląt, rodzina, zawsze z sześciu ptaków złożona, jeżeli który nie zginał, trzyma się razem, a uważałem, że słonki, rozrzucone po znacznej przestrzeni, ciągną też w tej liczbie. Trudno odgadnąć, w jaki sposób gromadzą się do wędrowki, czy na upatrzonych stacjach się zbierają, czy chrapaniem się zwołują, badanie jednak udowodniło, że na wschodzie i południu znacznymi stadami zapadają. Z powrotem ciągną mają odmienny, najpierwsze zjawiają się pojedyncze, są to awangardy, wysyłane na rekonesans, później nadlatują sparowane już,

a tylko wyjątkowo stadkami. Widocznie w miarę coraz dalszej podróży wiosennej zmniejsza się ilość, pozostając na lęg; stadka więc do nas przybywające mają przeznaczenie ciągnąć na północ i w góry. Te małe słonki, według mego zdania, latające na śnieżnej granicy, wędrowały zawsze w dosyć licznych stadach. Wyjątkowo zegarki słonki wprowadzają je w błąd i narażają nie tylko na przykre dniówki, lecz i na rzeczywiste niebezpieczeństwa. I tak przed wschodem słonka przelatują ponad lasy i gaje, swe ulubione przyliska i lecą dalej. Wtem słońce wschodzące odkrywa bezleśną okolicę, więc panika niepospolita zmusza znużone ptaki do zapadania na ściernie i role; wtedy szczególnie są, gdy mogą gdzie pod roślinami się ukryć i w zupełnej nieruchomości bez żeru dzień przepędzić. Nieraz wypłaszałem pojedyncze lub kilka niedaleko od siebie siedzące, jadąc konno lub idąc z wyżłem. Jak już wspomniałem, słonka śpi dosyć twardo w nocy i często zdarzało się, że ludzie, ciągnący sieć na skowronki, przykrywali słonki. W Niemczech, gdzie tolerują jeszcze to polowanie, ptasznicy łowią słonki nocujące na roli.

Lot tych ptaków nieda się z lotem innych porównać. Gdy ciągnie lub podróżuje, lot słonki spokojny, ale szybki, wałęsając się (muszę tego wyrazu użyć) po linjach i ponad zrębami, wachluje wolno skrzydłami, upatrując wodę lub żer, chwilowo wstrzymuje się z nieruchomymi lotkami i, złożwszy je w tył na ogon, spuszcza się na ziemię. Zręczność i szybkość lotu podzi-

wienia godne; i tak gdy prosto leci drogą lub przerebem leśnym lotem leniwym, a spostrzeże niebezpieczeństwo, to z szybkością błyskawicy znika z widnokregu, lub, jak spadający kamień, rzuca się ku ziemi i umyka do krzaków. Podobnie, jak nasze panie, nie lubi chodzić, pomimo, że doskonale i szybko biega, bo z natury leniwa, żerna i drzemiąca do chodu się nie kwapi. Przy ciepłych promieniach słońca południowego wcale się zrywać nie chce i biegnie przez cały miot, dopiero ostatni krzak zmusza ją do poderwania, a wtedy zwykle stęknie. Zdaje się, że pierze słonki mniej posiada tłuszczu, jak u innych ptaków, bo przemaka dokuczliwie, a gdy się woda do puchu dostanie, to trudno jej się poderwać, więc często czyni wielokrotne wysilenia i spada na ziemię, aż wreszcie strach wielki zmusza do podlotu. W czasie słotnym lecą słonki jak sowy wolno i są łatwe do ubicia, chybione zaś, blisko zapadają i biegną jak chróściele. Niktby nie uwierzył, jaki jej krok posuwisty, często napewne widziałem miejsce, gdzie zapadła, a po kilku minutach już się oddała o kilkaset kroków. Postrzelona traci przytomność i nigdy prawie ucieczką się nie ratuje, jak leśne grzebiące ptaki, ledwie zbarczona, już się kładzie i tuli do ziemi, rzadko kiedy podbiegnie i to jedynie w tym celu, aby się dostać pod pniak lub pomiędzy korzenie.

Spożywając wielką ilość ślimaków, skorupiaków i żuków, często trapią pragnieniem, biega do kałuż, do zbiorowisk wody leśnej. Na wiosnę więcej wody potrzebuje, jak w jesieni, a gdy jej niema, zbiera zrzę-

nie krople rosy z listków i traw, nad wieczorem zaś śpieszy na upatrzony moczar. Wiezorami, gdy ciepło na wiosnę i w jesieni, kąpie się, gdzie mało wody w roku posuszonym, można spotkać w jednej kałuży kilka kąpiących się. Słonka wchodzi odważnie do wody, zgina nogi w kolanach, zanurza się kilka razy, pozostawiając szyję i głowę nad wodą, wychodzi poważnie na brzeg, strzepuje się kilka razy i rusza lotem w świat daleki. Badając zwyczaje tych najad leśnych, upatrywałem po zrębach kałuże i moczarki, na których mogłem się dosyta przypatrzeć kąpielom słońek, strzelać wlot i do siedzących. Do przylatujących był strzał prawie niemożliwy, bo jakby z nieba pojawiały się tajemniczo i zapadały bez szmeru. Do siedzących można było przy księżycu strzelać, lubo niezawsze celnie, do podrywających się zaś o tyle, o ile szybko wznosiły się ponad cień zieleni. Wiele lat minęło, a obraz gliniastej kałuży pozostał w mej pamięci, przy niej niejedno zdobyłem spostrzeżenie, niejedna słonka przypłaciła kąpiel życiem. Na wiosnę chciwiej szukają tych wieczornych ablucyj, jak w jesieni, już to z powodu parowania się, już też ze zmęczenia po odbytych powietrznych ewolucjach. Nawet w wodzie i na brzegu tokują słonki, rozkładając ogony w wachlarze, biegając wkoło, dziobiąc się, podskakując, a niekiedy walcząc zawzięcie, do czego wszakże nie mają odpowiedniej broni, dziób bowiem elastyczny dokuczyć nie zdoła. Po chwili, jakby na dane hasło, zrywają się i szyją w powietrzu, goniąc się, przeganiając i dzió-

biąc się ustawicznie. Kto cierpliwy i ciekawy, ten po godzinie doczeka się przy kałuży tych samych słonek, lecz już nie będzie mógł strzelić z powodu braku światła. Słonki w powietrzu świszczą czyli syczą i chrapią, przy kąpielach i zalotach na ziemi nie wydają żadnego głosu. Czy się rano kąpia, nie mogę powiedzieć, na płaszczyźnie nie badałem tego ciągu, w górach zaś strzelałem ciągnące, których liczba nie do obliczenia, gdziekolwiek myśliwy stanie, usłyszy i zobaczy słonki, i choćby stu ich było, każdy może widzieć i strzelać.

Część znaczna słonek dosięga gór poparowana, a samice nader pilno znosić jaja, jeżeli śniegi nie pokrywają powierzchni. Wnoszę, że ta ogromna ilość słonek, ciągnących rano i wieczorem, przeważnie składa się z samców. Nie mając żadnych dowodów, nie mogę posądzać samców, latających rano i wieczorem, że one świszczą i chrapią, wabiąc inne samiczki, nie przypuszczam, aby się dopuszczały niewierności nawet w górach, gdzie moralność u ludzi też nie kwitnie. Sądzę, że kiedy samce są nader przykładnymi ojcami, donoszą troskliwie pożywienie pisklętom i wychowują je, to są też równie wiernymi i czułymi małżonkami.

W górach potoki muszą mieć dziwny urok dla zwierzyny i ptactwa, na ścianach tych głębokich deber gromadzi się zwierz, dzik leży i moczy się w źródłiskach, sarna lubi spocząć i stać przy krynicznej wodzie, jarząbki i głuszce przeważnie trzymają się tych miejscowości, a słonki, mając wodę, ślimaczki i ro-

baczki, nie odstępują tych parowów. Zaiste miły widok tego ptaka, gdy poważnie ponad wodą stąpa z dziobem pionowo do ziemi spuszczonego, z uwagą szuka żeru i często dziobem uderzy, lub też, podbiegłszy nieco w wodę, łowi jakiś wymykający się owad, po chwili staje, świecącymi oczkami rozgląda się i widocznie rozmyśla, wreszcie uspokojona, odbywa dalej nadbrzeżny spacer. Spłoszona najczęściej nie wylatuje ponad brzeg, lecz wzdłuż ścian leci odwiecznem korytem i znowu siada, przez długi czas rozgląda się, zanim przystąpi do żerowania.

Jest dla mnie tajemnicą niewyjaśnioną wyszukiwanie ulubionych miejsc pobytu słonek. W sadach, wisklinach i innych obszernych krzakach bywa z nieodgadnionej przyczyny ciasna przestrzeń, na której spotykamy słonki i to corocznie przez wiele lat; do tego stopnia jest to rzeczą pewną, że na ciągu jedynie na tych przestrzeniach szukać ich należy. Kilkanaście razy w życiu wykrywałem te ich schronienia i ku nim szedłem do strzału już przygotowany. Nie jednego roku, lecz przez kilka i kilkanaście lat, w jednym ciągu wystrzelane, w drugim pojawiały się inne. Wnioskowałem, że tam być musi obfity żer lub bezpieczne zaciśnięcie, ale przekonywałem się, że to nie pociągało słonek. Z jakiej przyczyny tam się jawiły, jest dla mnie zagadką, a co ciekawsze, że jedne, wystrzelane, bywały przez inne zastąpione. Na wiosnę częściej się pojawiały na tych miejscach, jak w jesieni. Przypominam sobie zarośla, ledwie kilka sążni ziemi pokrywające nad

rzeką, w których zawsze zapadały, pamiętam obszerne i długie wikliny nad wodą, w których na ciasnej przestrzeni przebywały, a od innych stroniły; znowu dwa zbocza zwrócone do słońca, laski w bliskości krzaków, gdzie się co roku pojawiały, jakgdyby miały nakaz siadania na tych miejscach. Nieraz wystrzelałem wszystkie, żadna życia nie uratowała, a w następnym roku znowu strzelałem do słońek, które, jak się zdaje, testamentem padłych miały przekazany nakaz odwiedzania tych słonczych cmentarzów. W tem mieści się wielka dla myśliwych nauka, im więcej bowiem zna takich miejscowości, tem więcej ubije słońek na wiosnę i w jesieni bez kosztów i znużenia.

P o b y t i l ę g s ł o n e k. Mało gatunków ptaków znamy, żyjących na tak szerokiej przestrzeni i wywodzących pisklęta, jak słonki. Ptasi filantropi, broniący nam strzelania do słońek na wiosnę, nie znają mirjadowej ilości wywodzących się tych ptaków w Europie, dopiero na ciągu jesiennym zastanawiają rezultaty, wykazywane z różnych krajów, z których można w przybliżeniu zestawzić olbrzymi coroczny przybytek. Na wyspach zapada słońek po kilkaset nad miarę znużonych podróżą, leżących jak bryły kamieni. Przypominam sobie ciąg w późnej jesieni na skalistej wyspie Helgoland, liczby słońek nie ośmielę się oznaczyć, wywołały one istną ruchawkę. Kto miał broń, strzelał, inni bili kijami, stawiali sieci, a dzieci, jak koty podkładały się i prętami zabijały. Słonki były widocznie niezmiernie znużone, bo spłoszone oblatywały

wysepkę i pomimo srogiego prześladowania znowu na nagiej skale zapadały ¹⁾). Na wyspie Rugji, jeżeli się nie mylę, w r. 1853 w końcu września i na początku października, była obfitość słońek nie do obliczenia, a książę pozwolił na nie polować, więc co żyło strzelało do nich przez dwa tygodnie i mnóstwo tych ptaków poległo. W owej wędrowce słońek tkwi nieodgadniona tajemnica, jakżeż bowiem usprawiedliwić pojawienie się kilkuset ptaków, nie podróżujących gromadnie, w czasie jednej krótkiej nocy? Ornitologowie zgadzają się w zdaniu, że słonka wędruje pojedynczo lub w parze, według mego zaś doświadczenia, co nieraz widywałem, ciągnie w jesieni rodzina, złożona z sześciu ptaków, jednak nie sprzeciwiam się powyższemu twierdzeniu autorów, widywałem bowiem często ciągnące słonki parami, lub pojedynczo, na wiosnę lub w jesieni. Gdyby sobie wyobrazić ciągnące słonki, jak szeregi żołnierzy, jedna za drugą, jeszczeby trudno było zgromadzić

¹⁾ Przypominają te słonki przepiórki zapadające na wybrzeżach morza; wprawdzie nigdy sam nie polowałem na te ptaki w sposób godny oprawców, ale znajomi opisywali mi to polowanie szczegółowo, w dziełach zaś ornitologicznych i sprawozdaniach wiarogodnych dosyta można się naczać opisów. Widocznie i przepiórki doznają wskutek długotrwałego lotu ubezwładnienia skrzydeł, niedozwalającego poderwania się. Niktby nie uwierzył, że w dwóch godzinach napelniono worek przepiórkami, kijem pobitemi, zatem kilkaset ptaków, które albo przywarowały do ziemi przytulone, lub też na nóżkach ocalenia szukały. Wyspy Korfu, Sardynji i archipelagu helleńskiego dostarczają każdej wiosny krocie przepiórek, zabijanych prętami lub nakrywanych sieciami.

kilkaset ptaków na jednym miejscu, na którym wczoraj wcale ich nie było, a wiadomo, że w nocy nie ciągną. Co dostrzeżono na wyspach, pojawia się i u nas. Ileż to razy spotykałem dwie lub trzy słonki wczoraj, a dziś znalazłem ich sto. Wywodzę przeto wniosek, że, jak u wielu gatunków ptaków, wędrówkę rozpoczyna rodzina; na etapach odwiecznych, wskazanych przez przyrodę, styka się ona z drugą i trzecią, a gdy już cała drużyna ma ruszyć pośpiesznym pociągiem, wznosi się wysoko i leci gromadnie, czego my ani widzieć, ani słyszeć nie możemy. Przytoczyć też muszę o naszych słonkach, że nawet niepłoszone i niestrzelane, wypełniające wczoraj krzaki, dziś nad ranem odleciały, musiały więc ruszyć w pochód, powołane przez wędrujące.

Gdzież niema słonki? W całej Europie, Azji i części Afryki, na Syberji i Kaukazie — wszędzie jej pełno, jedynie, jak twierdzą autorowie, niema jej w Islandji i północnej Norwegji. Musimy za ojczyznę słonki uważać miejscowość, w której rodzinę wychowuje, pobyt zaś pięciomiesięczny zimowy jako emigrację. Przeważna część wędruje do Azji i Afryki, podczas łagodnych jednak zim przebywa w wielkiej liczbie w prowincjach naddunajskich (dziś raczej państwach), na Pontyńskich bagnach, na wyspach Śródziemnego morza, często w Dalmacji i Illirji. Widywano w Niemczech, we Francji, a nawet w Anglii zimujące słonki; mój kolega, myśliwy i ornitolog, opowiadał mi o słonkach w Meklemburskiem, które co

roku w grudniu i styczniu strzelał w mokrych miejscowościach, tak zwanych cieplicach, nie zamarzających przez całą zimę. Z powodu lenistwa i zaniechania podróży często srogo pokutują, narażając życie.

W naszych krajach niesłyszałem o zimowaniu pojedynczych słonek, niekiedy pasibrzuchy lub postrzelone doczekają się śniegów, lecz i te odciągają i nawet ciepłe źródła zatrzymać ich nie zdołają. Przypominam sobie dwie czy trzy zimy ze stadkami w drugiej połowie grudnia i to na śniegu, gdy polowaliśmy już na dziki obtropione, raz narachowałem w miocie ośm tych ptaków, kilka razy zaś po dwa i trzy, na których nie znać było głodu, lecz i te powędrowały.

Słonki na wyspach straszną plącą dziesięcinę ludziom, którzy wystudjowali przyloty, odloty i ich zwyczaje. Posiadałem nader ciekawy opis polowania na wyspie Sardinji, na które zjechało wielu cudzoziemców, przeważnie Anglików, oczekujących ciągu, poczynającego się w pierwszych dniach listopada. Pierwsze polowania odbywały się w trawach i krzewinach u brzegów morza; na strudzone podróżą słonki, dosiadujące jak kamienie, a chociaż Anglik, prawidłowy myśliwy, często nogą ploszył słonki, aby je wlot strzelać, to jednak niezawsze zmusił je do poderwania, tak były skrzydła podróżą sparaliżowane. Po kilku dniach odpoczynku pociągnęły ptaki do pierwszych krzaków, z prześladowcami za sobą, i tak dalej i dalej, z pagórków w góry, do śnieżnej granicy. W miarę spadającego śniegu ściągały słonki ku podnóżom i tak

prześladowanie trwało przez całą zimę, dostarczając tysiące trupów. To posuwanie, a przeważnie zniżanie się słońek zauważaliśmy na całej linii naszych Karpat, gdy bowiem, jak to często bywa, spadły we wrześniu lub na początku października nawalne, wilgotne śniegi, to hurmy słońek pojawiały się na podgórzach i na krzaczystych nizinach pod górami, a jeżeli się pora wędrówki jeszcze nie była pojawiła, to powracały na swe ulubione miejscowości, poprute parowami. Z powodu wyżej przytoczonych wyników badań, okazuje się potrzeba szpiegowania przylotu słońek, że tak powiem, innemi sposobami i w różnych terminach, przeważnie pod górami i nad głównymi krajowymi rzekami. Jedne ptaki bywają ruchliwe, inne zdradzają się głosem; cicha, bojaźliwa i nad miarę ostrożna słońka pojawia się tajemniczo, w cichości, najczęściej na dosyć ciasnej przestrzeni; z tej przyczyny w czasie ciągu wypada pilnie z psem szukać, poznawszy ulubione miejscowości tych ptaków. Kontrolowanie ciągu na wiosnę bywa korzystną i nader przyjemną rozrywką, często srogie mrozy, tamujące życie przyrody lub głębokie śniegi, nie pozwalają lecieć słońce do ojczyzny, zatrzymują ją na nizinach, pozwalając nam używać rzeczywistej rozkoszy. Z naciskiem zaznaczam potrzebę troskliwego, sumiennego i codziennego szukania, gdyż ptakom nader pilno lecieć na legowiska i nieraz spotykałem znaczną ich ilość, której naza jutrz już nie było, widocznie rano zapadły, a wieczorem pociągnęły dalej. W górach posuwają się wyżej,

o ile na to dojrzałość jaj pozwala. Zauważyłem, że słońki parują się przy końcu podróży, więc często zgubne dla nich powietrze nie dozwala donieść jaja na miejsce upatrzone, wybrane, o czym mówić będę przy ciągu.

Lęg słońki łatwy do badania, miejsce zdradza ciągnący samiec, a ptaki gnieźdzące się pozostają na miejscu, mimo kilkakrotnego ich płoszenia. Pojedyncze parki gnieźdzą się niemal we wszystkich większych lasach u nas, byle były wilgotne i większymi krzakami podszyte. W starodrzewie nie ścielą nigdy gniazda, przeważna część gnieździ się w górach, posuwając się ku szczytom, gdzie zaś drzewo karłowacieje lub rośnie kosodrzewina, to takich miejscowości unikają słońki. Ulubione ich zacisza są w parowach, na ich ścianach i przy źródłiskach, często w jednej takiej debrze znachodziliśmy kilka takich gnieźdzących się par. Słońka leniwa, zaspana i ciężka, staje się w czasie parowania nad wyraz namiętną i napastliwą, nader ciekawy przedstawia obraz, zmieniający się kilkakrotnie, nie tracąc wszakże cechy zawziętości i gwałtowności, przygłuszających wrodzoną ostrożność do tego stopnia, że nadlatuje na kilka stóp od człowieka, lub walczy w obecności jego. Te miłośne słońek pojedynki podobne są do owych przez chłopczyków drewnianymi pałaszami dokonywanych, miękki bowiem i elastyczny dziób ciężkiego razu zadać nie może, niezdolny nawet uszczypnąć przeciwnika. Jak w każdym gatunku ptaków, tak też u słońek więcej samców, jak samic, z tego powodu

toczą się zawzięte walki w czasie gnieźdzenia. Już w pierwszych łagodnych wieczorach słyszymy wabienie się słońek świstem i chrapaniem, w innych nie parują się i nie tokują, potrzeba im ciepła, jak Niemcom betów. Do nocy uganiają samce za samiczkami, trącając się dziobami i usuwając się nawzajem lotkami, co też czynią przed wschodem słońca. Niekiedy, jak gdyby w kłębach splecione, leci ich trzy lub cztery, koziółkując w powietrzu tak szybko, że rozróżnić ich nie można, to znowu znużone siadają na ziemi, lub przy kałuży i poczynają biegać koło samiczki, roztańczając w wachlarz sterówki, świecąc plamami śnieżnej białości i dziobią się nieustannie. Nagle, bez widocznej przyczyny, jakby na komendę, zrywają się i poczynają uganiać. Dwie i trzy jakby w wiązkę złączone słońki widywałem często, jednego zaś wieczora nadleciała taka wiązka ptaków nad mego towarzysza, który jednym strzałem ubił trzy. Często zaślepione namietnością, kręcą się po ciasnej przestrzeni porębu, wtedy uważny i cierpliwy strzelec może z łatwością ubić dwie na jeden strzał. Przyznaję, że pierwsza lecąca słońka bywa zawsze samiczką, czy zaś, jak twierdzą, ona tylko świszczce, a samce chrapią, tego stwierdzić nie mogę stanowczo. Badanie to trudne i nader bałamutne, wszakże może to być prawdą; często w oddaleniu od samiczki słyszałem świstanie i chrapanie, zwykle jedno i drugie tak szybko powtarzane, że trudno orzec, który głos wydany był przez ptaka lecącego przodem, a który przez goniącego. Mylnem jest twierdzenie, jakoby

słońki w powietrzu się parowały wśród przewrotów i koziółków, akt ten odbywa się po zwalczeniu współzawodników zawsze na ziemi.

Niewybredną jest wcale słońka w wyborze miejsca lęgowego i uścielenia gniazda, widocznie pośpiech zmusza ją do znoszenia jaj w ladajakim dołeczku, przykrytym kilkoma suchymi korzonkami lub źdźbłami trawek. Zdarzało mi się widzieć gniazdo pośród korzeni, a całość tak była jednobarwna, że, stojąc o stopę od gniazda, z trudnością mogłem je i samicę upatrzyć. Przypominam sobie słońkę, siedzącą twardo na jajach między dwoma korzeniami grabowemi, którą mi chłopiec palcem pokazywał, a ja jej zobaczyć nie mogłem; mimo dosyć głośnej rozmowy słońka się nie zerwała i pozostawiłem ją na gnieździe. Może być błędem moje mniemanie, iż słońka często gubi dojrzałe już jajo w końcu podróży, jeżeli wszakże ono jest prawdziwym, to tem wyjaśnić można mniejszą ilość jaj, jak cztery, które znosić powinna, nigdy mniej ani więcej, tak, jak każda samiczka rodzaju bekasiego. Cały szereg notatek moich stwierdza to przypuszczenie, czytam w nich o zabiciu słońek z dojrzałemi jajami, wyraźnie kolorowanemi, a zatem gotowemi do zniesienia, naznaczone są w nich dwa lata, w których strzelaliśmy dosyć znaczną liczbę takich samiczek z jajami w jajowodach, a że niewiele parok gnieździło się w okolicznych lasach, przypuścić nie mogę, aby one z takimi jajami dalszą podróż odbywać mogły, musiały więc je w drodze zostawiać. Przypisać to należy naszym

spóźnionym, tak dziwnym i kapryśnym wiosnom; ciepło wypędza słońki ze wschodu, nasze zaś zimno nie dozwala znoszenia jaj i wysiadywania ich. Samica wysiada nader pilnie jaja, przypuszczam, iż samiec ją żywi, nie słyszałem bowiem, iżby kto znalazł gniazdo z jajami bez matki; nie opuszcza go ona przez 15 do 18 dni, gdy więc za żerem nie wybiega, musi być karmiona. Po tym czasie wykłuwają się istne potworki i, ledwie osuszone, już z gniazda wylazą i włączą się po krzakach. Oboje rodzice przykładnie i troskliwie żywią pisklęta i okazują im wielkie przywiązanie. Gdy człowiek się ku nim zbliży, wydają głos, znany u dubeltów, powtarzany żałośnie, zrywają się i opodal siadają, głosząc swój niepokój. Pocieszne to figurki, owe malutkie ptaki, które biegają, mając na puchu tu i owdzie jeszcze kawałki skorupy z jaja, dzióbki ich wprawdzie krótsze od rodzicielskich, zawsze jednak nieproporcjonalnie długie, oko duże brunatnego koloru, puch ciemnoszary z plamkami rudymi i ciemnymi, od nasady dzioba pod oko i na karku pasek brunatnoczarny, charakteryzujący pisklę słońki, nogi grube, w kolanach jakby nabrzmiałe, i ta grubość nóg pozostaje młodym do jesieni. Już w tym wieku są roztropnymi ptaszynami, gdy rodzice chrypliwie nakazują ostrożność, pisklęta warują na liściach nieruchome i żadne oko ludzkie ich nie wykryje; nie znalazłem też nigdy takiego malca i gdyby nie stający do niego legawiec, byłbym młodych słonek nie poznał. Puch noszą przez nader krótki czas, już po 10—15 dniach poczynają wy-

rastać piórka na całym ciele, koloru nieco ciemniejszego od pierza rodziców, przedstawiają się w szkarłatnej postaci, dziób, pionowo noszony, przydłuża się, na całym ciele miła dla oka znaczy się pstrocizna, ale lotki jeszcze nie wyrastają, więc ptak zda się być kaleką.

Samica znosi, jak już wspomniałem, cztery jaja, które leżą w gnieździe, stykając się z sobą szpiczastymi końcami; w stosunku do wielkości ptaka dosyć duże i kształtne, u góry pękate, u dołu zaokrąglone. Skorupa bez połysku, z gruntem szarordzawym, na którym plamki i punkciki rdzawoczerwone przebijają się, jak przez zasłonę. Jaja nierówno upstrzone, niektóre mają więcej, inne mniej plamek, są też z wieńcem u grubszego końca, a mają tę właściwość, że w zbiorach, na powietrzu tracą koloryt i stają się bladordzawymi. Istotnie wszystko odmienne i oryginalne u słonek. Pisklę pstre bez lotek, kulające jak kaleka, już własnym przemysłem żyje, biega za żerem i zabezpiecza swe życie. Kto je uczył, kto prowadził, kto wskazywał pożywienie, gdy rodzice już odbiegły swe dzieci? Oto dobroczynna przyroda nakazuje przewracanie liści, upatrywanie ślimaczków, owadów i robaczków, któremi się żywić musi, gdyż dziób jeszcze za miękki, iżby szturkać nim w łajna i wilgotną ziemię. Słonek nie są ptakami towarzyskimi, rodzice o dzieci się nie troszczą; jeden ptak od drugiego stroni, żyje w samotności, nawet rodzina rozłazi się i na noc się nie gromadzi; każdy dla siebie, Bóg dla wszystkich — oto

ich hasło. Zdarzało mi się, iż znachodziłem pisklęta widocznie z tego samego zniesienia, gdyż na porębie nie było więcej jak dwie słonki, rozrzucone na przestrzeni kilkunastu morgów. Znachodząc w końcu sierpnia i na początku września niewypierzone jeszcze pisklęta, twierdzili niektórzy, że słonki się gnieźdzą dwa razy w roku, lecz mylnie to zdanie, o czym się dostatecznie przekonałem. Słonka, odkarmiwszy się po wysileniach w czasie lęgu, poczyną się pierzyć, a jest to perjod, w którym ptaki nigdy się nie gnieźdzą, pierzenie bowiem połączone jest z małym cierpieniem, wymagającym ruchu, wody i obfitego pożywienia. Przypuścić można jedynie, że spotykane pisklęta pod jesień pochodzą z drugiego zniesienia, gdy pierwsze zniszczonem było, lub też od samiczek z temperamentem maurytańskim, niezastosowanym do naszego klimatu i do naszych wiosen, które, zapłodnione w podróży, nie mogły na czas dolecieć do lęgowiska i gubiły po drodze jaja.

Czy młode słonki szukają także kąpieli, dociec nie mogłem; płoszyłem je najczęściej na suchych miejscach, lecz, co trudne do uwierzenia, a co jednak kilka razy widziałem na własne oczy, kąpią się chętnie jak wróble w startej ziemi czyli kurzu. Gdy po raz pierwszy spostrzegłem dużego ptaka kąpiącego się i trzepocącego w kurzu, byłem przekonany, że to sojka, a można sobie wyobrazić moje zadziwienie, gdy długi dziób zobaczyłem. Kąpiąc się w taki sposób, kładzie się na ziemię, tuli się do niej, trzepie lotkami, z czego

powstaje tuman kurzawy, a ona ciągle się rusza, poczem na kilka stóp od tego miejsca odbiegnie, napuśzy pierze i strzepnie się kilka razy. Widocznie czyni to w celu pozbycia się trapiących ją owadów. Zdaje mi się, że wyrośnięte słonki pojedynczo opuszczają rodzinne lasy i z gaju w gaj, z lasu w las, jak włóczęgi wałęsają się we wrześniu, co nam wyjaśnia coroczne pojawianie się pojedynczych słonek w krzakach, w których się nie wywiodły. Na miejscu lęgu nie widywałem ciągnących słonek, mniemam, że rodzice nie wprawiają do lotu porzuconych piskląt, instynktem wiedzione, uczą się latać na przestrzeniach, dzielących jeden las od drugiego. W górach ciągną licznie, lecz ponieważ wiele ich tam żyje, mogą przeto bezżenne samce i samice ze straconemi zniesieniami być uważane jako młode, ciągnące, przyznać bowiem muszę, iż nie zdarzyło mi się przepędzić nocy w górach, a nieraz tam nocowałem, bez widzenia wieczorami ciągnących ptaków. Ufając podobieństwu koloru pierza do otoczenia, siedzą twardo na jajach i stają się nader często ofiarą lisów, kun, tchórzów i większych sów. Zmyślne wiewiórki, łasice, sojki, sroki polują przeważnie na jaja, niejedno przeto zniesienie bywa spożytem w jajecznicy.

Niemcy swą niezrównaną cierpliwością i wytrwałością osławiali słonki i wychowywali młode poczwarkami mrówek, zwanemi mrówczemi jajami, glistami żywemi, później siekanemi, z przymieszką bulki maczanej w mleku, po kilku miesiącach jadły samą

bulkę, lub zmieszaną z drobno siekanem mięsem. Samce ku wiosnie tokowały, rozkładając w wachlarz ogony, wzdymały pierze i spuszczone lotkami pruły ziemię. Na miękkiej ziemi w ogrodzie grzebały dzióbem, co dowodzi, że tym sposobem żywią się na wolności. Poznają swego pana i, jak twierdzą, przywiązanie swe okazują, a pociesznymi i karykaturalnymi ruchami bawią i rozveselają.

Ciąg i pożywienie. Zaprawdę nader trudno opisać i oznaczyć terminy ciągu słonek, zależą one od sprzyjających wiatrów i stosownej temperatury, budzącej życie w przyrodzie, zależy również od okolicy. Nieraz przysyłano mi wiadomość o ciągu na mokrych nizinach, gdy w mojej okolicy jeszcze śnieg leżał i zimno dokuczało. Gdy jednak termin ostateczny zmusza do wędrówki, wtedy z wysileniem podróżują, zatrzymując się przez krótkie chwile dla wypoczynku. Już około 15-go marca musi myśliwy zorganizować nadzór i oczekiwać wschodniopółdnioowego wiatru, przypędzającego słonki do nas, jeżeli zima sroga nie gnębi jeszcze przyrody. Przeciętnie naznacza doświadczenie najobfitsze ciągi między 5 a 15 kwietnia. Przypominam sobie kilka ciągów wiosennych w połowie marca, przy wczesnej wiosnie, pomnę również znaczną ilość słonek na zaskorupiałym śniegu i na świeżym puchowym. W r. 1868, 18-go marca znalazłem 70—80 słonek w krzakach przy łagodnym powietrzu; zabiłem 23, do południa wystrzelałem wszystkie ładunki i powróciłem do domu. W dzień św. Józefa nie polowałem,

a gdyśmy z niepospolitym zapasem amunicji wyruszyli 20-go, nie znaleźliśmy ani jednej. W roku następnym była dosyć wczesna wiosna, słonki siedziały na śniegach, a w r. 1874 ciąg pojedynczych rozpoczął się 15-go marca i trwał do 15-go kwietnia. Wtedy poznałem wytrwałość tych ptaków na dokuczliwe powietrze. Widząc wszędzie po lasach licznie zebrane słonki, codzień na nie polowałem i wtedy padło przeszło 100 ptaków. W tym samym roku w nocy spadł miękki puchowy śnieg, na wysokość dwóch stóp; słonki brnące w śniegu dawały pocieszny widok. Na tej bieli, przed naganiancami, chciały owe zmarznięte ptaki śpieszyć na nogach, nie mogąc łatwo wzlecieć, kołysały się jak kaczki i zapadały po szyję. Był to dla nich dzień krwawy, ani jedna bowiem nie uszła ku letniemu mieszkaniu.

Wspominałem już, że słonka, mając zwilżone pierze, a szczególnie zamaczany meszek na skórze, nie podlatuje i szuka w nogach ocalenia. Jako stworzenie wielce trwożliwe i ostrożne, szuka na wiosnę gąszczów z powodu obnażonych z liści drzew, a zabezpieczając się od zimna i wiatru chroni się do zacisza leśnego. Wyjątkowo w dniach ciepłych i spokojnych można zastać słonki na rzadszych krzakach. Wędrowcy zgłodniiali żywią się drobnymi żukami jeszcze bez życia, skorupiakami, wyszukują na mokrej ziemi obumarłe robaki, w ostatecznym głodzie połykają drobne zgniłe korzonki. Wiadomo, jak szybko ptak pożywienie trawi, więc pojąć trudno zaokrąglenie ich ciała

przy tak srogim poście na wiosnę; rzadko kiedy widziałem słonki wychudzone i uważam je za wyjątkowe zjawisko. Wtedy trzeba szukać ptaków przy śniegowych wodach, cieplicach, w gąszczach; tam one brodząc, zręcznie wyszukują, co woda odkryła i przyniosła. Wchodząc w wodę, podnosi słonka ogon, spuszcza pionowo dziób i, bacznie śledząc, postępuje, co chwila zanurza dziób w wodę, upatrzwszy przedmiot żerny, a przy alarmie natychmiast wyskakuje i chroni się w gęstwinię.

W krajach sąsiednich już po pierwszych dniach marca, niekiedy przy końcu lutego polują na słonki w Dalmacji, Siedmiogrodzie i w południowych Węgrzech, widocznie czekają tam ptaki na termin, pozwalający lecieć do naszej zimnej ojczyzny. W opisach zagranicznych autorów czytamy o spotkanych na jach słonkach w drugiej połowie marca, co by dowodziło, że do nadreńskich krajów wcześniej nadlatują, jak do nas. Na wiosnę i w jesieni pojawiają się pojedyncze słonki, wystawione na głód i zimno, czy one są wywiadowczymi ptakami, czyli też w Europie zimowały, orzec nie śmiem, uczynię wszakże uwagę, że te pojedyncze słonki niekiedy przez kilka i kilkanaście dni w tych samych lasach przebywały, a zatem przypuścić muszę, że nie powracały do głównych stad, czekających na wiadomość. Tych pojedynczych słonek, rozrzuconych po lasach, bywa niekiedy po kilkanaście, później zaś i to zwiastuje koniec ciągu; zdybujemy parki; ciąg w większych stadach na wiosnę uważam

za wyjątkowe zjawisko i mniemam, że są to na północ dążące ptaki, zatrzymujące się dla wypoczynku u nas.

W Galicji ledwie ze śniegu wydobyły się pniaki i czarne plastry tu i ówdzie odkryły ziemię, gdy jeszcze skąpo wody się sączą, już trzeba śledzić ciągu na tych odkrytych miejscowościach, które znać powinniśmy. Te do słońca uśmiechające się lasy zawsze nam dostarczają słonek, niekiedy na tych ciasnych przestrzeniach siedzą trzy lub cztery słonki zgłodniałe, nie mogąc znaleźć innych odkrytych miejsc. Nieraz zdarzało mi się polować przez kilkanaście dni na słonki w białych lasach, podczas spóźnionej wiosny, którą kilkakrotnie zima przerywa. Na wiosnę, przy powiewie wschodnio-południowego wiatru, wypada od połowy marca szukać słonek, w jesieni zaś przy zachodnio-północnym wietrze jest dla myśliwych najkorzystniejszym zjawiskiem, gdy prądy wiatru nie pozwalają ptakom odlecieć. Nader często przekradną się słonki przez białe lasy, w rewirach nietroskliwie dozorowanych.

W pierwszych latach mego zawodu myśliwskiego, nie przypuszczając ciągu, nie jeden ciąg słonek straciłem, popasłszy u mnie, powędrowały na północ lub w ulubione góry. Śmieszne to, jednak prawdziwe, że kilka razy polowałem na obtropione słonki, lub szedłem po śniegu za tropami, strzelając w powietrzu i na ziemi. Gdy spóźniony ciąg odbywa się ku połowie kwietnia, to nader często strzelamy słonki z dojrze-

łemi jajami w jajowodzie; zdarzało mi się też wydobywać jaja z twardą skorupą i dokładnym kolorytem. Przypuszczam, że niektóre pojedyncze byłyby się zniosły w okolicznych lasach, znaczna jednak część wędrowców gubi pierwsze jaja w drodze, nie mogąc z nimi odbywać podróży na północ lub w góry. Ile dni trwać będzie ciąg wiosenny, nikt oznaczyć nie może, zależy to od pory wcześniejszej lub późniejszej, zależy również od pożywienia, a przeważnie od wiatru, ułatwiającego podróż. Nader często biedowały u mnie słonki przez dwa tygodnie, oczekując pomocy z nieba, wiatru wschodniego i znaczną opłacały dziesięcinę.

Korzystając z opisów w «Łowcu» z roku 1880, tyle zajmujących, skreślonych znanem nam piórem Karola Brzozowskiego, przytaczam jego spostrzeżenia, że słonki cofają się i z gór zlatują przed śniegami, co i w naszym kraju uważałem; zjawisko to wyjaśnione głodem.

Badanie jesiennego ciągu połączone z większymi trudnościami, jak wiosennego, las bowiem liściem okryty tworzy często ciemne gąszcze, dla oka niedostępne. Kto nie jest bystrym obdarzony słuchem i nie zna furknięcia charakterystycznego słonki, nie dającego się z żadnym innym porównać, ten przejdzie z legawcem lub kilkoma chłopcami niejeden miot i słonki nie zobaczy. Dodać jeszcze muszę, że ptaki są leniwe, niechętnie do lotu i pod baldachimem liści mniej ostrożne, siedzą twardo lub na piechotę umykają, wając się wśród krzaków i korzeni. Pojedyncze ptaki nad-

latują już około 15-go września; są to kawalerowie, nie mający obowiązków dla rodziny, wałęsający się po lasach, szukający obfitego żeru i bezpiecznego schronienia; trudno orzec, czy to już migracyjne ptaki, czy też latające w okolicy. Niekiedy koło św. Michała, 29-go września, pojawiały się słonki w dosyć znacznej liczbie, lecz przeciętnie najobfitszy ciąg, jak świadczą moje notatki, odbywał się między 5-tym a 15 października, ciąg zaś po 20-tym uważam za wyjątkowy. Bywają zagadkowe ciągi, spóźnione na podobieństwo pociągów kolejowych i dwa takie mam zapisane. Po zebraniu dosyć małej zdobyczy opuściłem moją siedzibę 16-go października, a powróciłem w ostatnich dniach tego miesiąca i jeszcze polowałem na słonki, które się zatrzymywały do pierwszych dni listopada z niedocieczonych przyczyn; już przymrozki dokuczały, śnieżek prószył, a służba leśna nie przestawała donosić mi o słonkach. Zaiste zagadkowe bywają w tym względzie zjawiska, wyryte w mojej pamięci. I tak w r. 1883 odbył się ciąg obfity, począwszy od 1-go października do 15-go; z tym dniem coraz więcej ubywało wędrowców do tego stopnia, że przestałem polować, uważałem słonczą kampanję za skończoną, lecz inaczej los zrządził. W dniu 23-go października zerwała się burza, druzgocąca lasy, uragan z deszczem lodowatym i mokrym śniegiem mroził dokuczliwie; nie było człowieka, któryby się odważył wyjść w otwarte pole, z północy bowiem dał nielitościwie wicher. W dniu 24-go uwiadomiam nas o pojawieniu się słonek; wieczorem tegoż

dnia donoszą dozorczy ze wszystkich rewirów, że nigdy nie widzieli tyle ptaków razem siedzących. Rzeczywiście przybyły wtedy hurmy słonek i to dużego gatunku nie do obliczenia; zapadły one po wszystkich lasach, po krzakach. Zaskoczone tą niespodzianką atmosferyczną, słonki zmuszone zostały do przerwania podróży tak raptownie, że siadały na polach, rolach i łąkach z nader rzadkimi zarostami. Zaiste trudno było wtedy wybrać rewiry do polowania, a rozkosz, mimo dokuczliwego powietrza niezmierna; namiętny myśliwy mógł upadać ze znużenia, nabawić się zapalenia płuc, ale polować musiał aż do ostatniego dnia pobytu niespodzianych gości. Nasza rozkosz trwała niestety tylko przez trzy dni, powietrze złagodniało, wiatr się uciszył i wędrowcy podążyli na wschód, pozostawiając w Olejowie 103 trupów. Mała liczba strzelców i to niedoborowych, dotkliwe zimno były przyczyną skąpej zdobyczy w stosunku do liczby ptaków, które z powodu zmęczenia i przemoczenia łatwe były do strzelania. To tłumne zapadanie słonek wyjaśnia gwałtowna burza, połączona ze śnieżycą, ale zagadkowy tak spóźniony ciąg tem trudniejszy do usprawiedliwienia, że ciąg poprzedzający był normalny i liczny. Dlaczego się te słonki spóźniły, gdzie latowały i skąd do nas zapędzone zostały, pozostanie tajemnicą. Kilka podobnych wypadków mam zanotowanych, ale tak nawalnego ciągu nigdy nie widziałem i nie słyszałem o nim; przypomina on opisany przez Brzozowskiego. Oczywiście małe stadka musiały się zbierać na ptasich stacjach,

a dojrzawszy do tej olbrzymiej liczby, jaką opisałem, wspólnie ruszyły w tę nieszczęsną dla nich podróż.

Znany jest obfity ciąg po wiklinach i olszynach u brzegów Dunaju. W roku tysiąc ósmsetnym siedmdziesiątym którymś nie widywano przez cały październik słonek, pojawiły się dopiero licznie w listopadzie i bawiły do pierwszych dni grudnia. Często zdarzało mi się strzelać słonki w listopadzie, a nawet później, lecz były to nieliczne pasibrzuchy na dobrym wikcie, żal im było opuścić go i ruszyć dalej; wszelako ciągi w tak spóźnionej porze uważam jako nader wyjątkowe wypadki. Rozpisałem się nieco obszerniej o tem, aby zwrócić uwagę myśliwych na te migracje; niech zachowają je w pamięci, gdy o nich sami się przekonają, będę za trud mój sownie wynagrodzony. Życie i wędrówki słonek zasługują na głębsze badanie, wykrycie i poznanie zwyczajów ułatwia polowanie, zmniejsza ofiary i wysilenia, i uzyskujemy należną nam dziesięcinę z licznych wędrowców, lecących na pastwę Arabom. Tu nie można oznaczać kalendarzowych terminów przylotu i odlotu tak na wiosnę, jakoteż w jesieni; w tym celu musi być ścisły nadzór zorganizowany, a myśliwi powinni być w pogotowiu, bo często rozkosz nasza bywa nader krótką. Przypominam sobie zimne, mokre i śnieżne wiosny, w których naganiacze zabijali patykami skostniałe i przemoczone słonki.

Przystępuję do opisu ciągu przy wschodzie i zachodzie słońca na wiosnę, otoczonego urokiem, poruszającego wszystkie nerwy. To prawdziwa poezja ży-

cia, którą pochłaniamy w głębi duszy: ów chorał ptactwa, ów obraz zwierzostanu, kadzidło przyrody, szmer zachwycający, upajające balsamiczne powietrze, wynurzające się tajemnice, nasuwające się zagadki, wszystko to elektryzuje, podnosi umysł ku wyższym sferom, w głębi serca odżywia gorący promień piękna i życia. Fletowymi tonami obudzają kos i drozd naszą uwagę; raszka pieszczotliwym, cichym, fagotowym śpiewem nuci swą dzienną modlitwę; płochacz, zwiastun ciągu słonek, przesuwający się wśród drobnych gałązek, wydaje głos niedający się ująć w pewną melodję, bo on w nieustannym ruchu nie zdolny zkrystalizować jej, ale cenny to ptak, bo zdradza jawienie się oczekiwanych długodzióbów. Wzrusza nas beczący rogacz, ocierający przestarzały mech z rogów, gniewa się na krzaki i bodzie jakby wrogów swoich; niekiedy słychać piskliwe szczeknięcie liszki, przywołującej swe dzieci, szczekanie lisa w pogoni za sarniátkiem lub zającem, szmer kłębiących się owadów, kwakanie ciągnących kaczek i gwizdanie długonogich brodzieców, a wszystkie te głosy odzywają się przy akompanjamencie śpiewu wielu gatunków drozdów. Marzenie owłada umysł, dusza w zachwycie, krew czystiej krąży, przeistacza się człowiek w zwątpieniu, ażali to rzeczywistość lub sen uroczy. Jakby z pod ziemi jawi się tajemniczo słonka na szarem tle, wybiega ona z gąszczu na drogę, linję lub leśną łączkę, rozważnie się rozgląda i, czując się bezpieczną, zrywa się ponad krzaki, w wysokości dwóch sążni wachluje spokojnie, obleci wybrane gąszcze, się-

dzie przy kałuży, napije się chciwie, w ciepłych wieczorach użyje kąpieli, i poderwawszy się, zachrapie lub zaświszcze, oczekując odpowiedzi. Gdy jej nie otrzyma, leci dalej, wabieniem przywołując towarzyszków lub towarzyszkę. W tej samotności wydaje często głos, jak-gdyby zniecierpliwiona milczeniem; po bezowocnych wysileniach siada i wbiega do gąszczu. Ten sam manewr powtarza przy wschodzie słońca. Później, w pogodnych wieczorach na świnięcie lub chrapnięcie zjawia się druga, wtedy dąży do niej lotem błyskawicy, zatrzepoce i po ptasiej rozmowie lecą obie dalej; gdy zaś samiec spotkał samiczkę, tuli się do niej w locie, lotkami dotyka, trąca dzióbem i odbywa konkury, świszcząc i chrapiąc. Dla samca niebezpieczna to chwila, nadlatują bowiem konkurenci z dalszych porębów i rozpoczyna się walka, wprawdzie nie krwawa, ale zacięta. Ptaki kłębuja, trudno rozróżnić je, kształty tego obrazu zmieniają się nieustannie i żal nas ogarnia, gdy z widnokręgu znikną. Wtedy nie trudno zastrzelić kilka słonek jednym strzałem, lub gdy dwie trzepocą w pobliżu siebie, spuścić obie. Jeden z moich znajomych miał nad sobą taki kłębek słonek dwa razy w życiu, spuścił raz trzy, drugi raz dwie, ja zaś strzelałem kilka razy do parok, ale nigdy obu nie ubiłem. Ciąg wieczorny ma niestety wiele stron ujemnych; krążenie słonek trzeba skrzętnie wypatrywać, zmienia się ono często, ptaki upatrują żer, kałuże i miejsce dogodne do tokowania, więc ciągle kierunek zmieniają. Najprzystępniejszy jest zrab kilkunastoletni, w starszych i starodrzewie latają

słonki zbyt wysoko. Drugą ujemną stroną jest jazda do lasu, a szczególnie powrót w nocy do domu; kto nie posiada lasu w bliskości, istne tortury przeżywać musi. Konno czy wozem droga piekielna; wóz grzęźnie w błocie, koła nie obracają się, konie ustają, potykając się ciągle, niekiedy upadają, wkońcu często wóz się wywraca, co srodze zniechęca myśliwego. Nieraz powracałem do domu o 10-tej w nocy, opuściwszy las przed 8-mą godziną, zmęczony, zblocony i znękany, a często nawet dobre konie i wprawiony do polowania wierzchowiec zmuszały mnie do piechotnego powrotu i brnąłem w błocie po kolana. Musi być niepospolity urok w tem polowaniu podczas dni pogodnych i ciepłych wieczorów, kiedy panie, z którymi tylokrotnie polowałem, zachwycone były tą miłą rozrywką.

W dniach zimnych i słotnych nie ciągną słonki, a gdy która tajemniczo i śpiesznie przeleci, to głosu nie wyda i niknie nam z oczów. Zdaje się, że przy takiej temperaturze nie parują się, o ile mi doświadczenie wskazuje. Sceny przedstawiające nam słoncze konkury nie wszędzie widzimy i to nową jest zagadką. Często donosi mi służba leśna, rozstawiona po linjach i drogach, że ciągnęły 3 lub 4 słonki, a gdy ich szukam, okazuje się 15 do 20. Zdawałoby się, że to słonki, które nad wieczorem i nad ranem nadleciały, że zatem nie mogły się okazać na ciągu, lecz przekonałem się o ich pobycie kilkudniowym w moich lasach. Olejów, zwany stacją słonczą, nie może dać na wiosnę uroczego ciągu, gdziekolwiek tylko pojedyncze przeciągają, ale nie

zdarzyło się, żeby kto z myśliwych zabił jednego wieczora dwie słonki. W niektórych rewirach można kierunek ciągnących słonek nazwać weksłami ptaków, jak innej zwierzyny, w innych niemal co wieczór ciągną innemi linjami i gdy nam się zdaje, żeśmy wypatrzili ich dążenie, okazuje się, że zupełnie inną drogą ciągnęły. Takich lasów znam wiele, do nich należą i olejowskie, z niewdzięcznym ciągiem, nie do pochwycenia.

Przeciągają tak w jesieni jak na wiosnę pojedyncze słonki; są to awangardy, lub ptaki bez samiczek i rodziny, istne pasibrzuchy, oblane i okrągłe jak gałki, na wiosnę zaś, szczególnie przy spóźnionym ciągu, przylatują w parkach; wtedy z polowaniem na nie śpieszyć się należy, gdyż one odlecą wkrótce na legowiska. W jesieni przybywają rodziny, złożone zawsze z sześciu ptaków, jeżeli który nie zginął i według mego zdania, wędrują rodzinami do pewnych stacyj, gromadzących znaczną ilość słonek; z tych stacyj prawdopodobnie już w znacznych stadach lecą, inaczej bowiem nie można sobie wyjaśnić pojawienia się kilkudziesięciu lub kilkuset słonek na jednym miejscu, gdzie ich wczoraj wcale nie było. Zdarzało się u mnie nadlatywanie mało-liczebnych stadek, które wybijałismy, ale nieraz też stopniowo naleciało kilkadziesiąt słonek, które nad ranem szybkim pociągiem pospieszyły na wschód, nie pozostawiając ani jednej w krzakach. Nie znam ptaków, któreby pojedynczo wędrowały, a u słonek widzimy ten zwyczaj corocznie, na wiosnę zaś lecą parkami. Słonki ciągną przy wschodzie i zachodzie

słońca, nigdy w ciemnych nocach. Gdzie spostrzegą odpowiednie miejsce, spoczywają, a nad ranem ruszają w dalszą podróż. Jako ptaki nader ostrożne i trwożliwe lękają się światła dnia i blasku słońca, na dzień więc dążą do zarośli. Mniemam jednak, że gdy ciąg się opóźni i termin jego naciska, ciągną słonki w dzień i w nocy, lecz w takiej wysokości, jakiej cedry Libanu nie osiągają, wysokości, wychodzącej z zakresu badania. Siedząc wieczorami na zasadce przytulony do pnia na kraju lasu, widywałem nader często przybywające słonki, lecz więcej jak sześć nigdy nie naliczyłem; być może, że większe też stadka nadlatują, ale ja ich nie widziałem, na wiosnę zaś nie udało mi się podpatrzeć przylatujących słonek.

Wschód słońca i jego promienie działają piorunująco na lękliwych wędrowców, blask ten zmusza do zapadania tam, gdzie je zaskoczył, na roli, w polu lub na łąkach, bez krzaków i schronienia, wtedy ptaki przytuliwszy się do ziemi warują i każdy uważa je za bryły ziemi lub kamyki. Jak już wyżej powiedziałem, zapadają po ostach, zarośniętych rowach i miedzach, pod płotami i t. d. Jednego dnia na Podolu zdarzyło mi się zastać na ścierni w kępinie dzikich bżów, na przestrzeni nader małej kilkanaście słonek. To zapadanie na odkryte przestrzenie uważać należy jako wyjątkowe, zresztą upatrują sobie te ostrożne i przezorne ptaki stacje w zaroślach, do których na czas zdążają. Na wiosnę nie dostrzegłem tego zapadania po polach, może być, że wtedy wyrachowanie odległości jest ściślejse,

jak w jesieni, w której młode, niedoświadczone ptaki puszczają się w podróż.

Na ciągu jesiennym znajdujemy także parki; są to ptaki, którym zniesienie zepsuto, żyjące jeszcze razem w małżeństwie. Słonka gnieźdząca się w znacznej ilości w górach, wystawiona na rozliczne prześladowania przez ptaki drapieżne, lisy, tchórze, kuny, łasice i wiewiórki, często życiem przypłaca swe przywiązanie do jaj. Jastrząb-gołębiarz, jej najzaciętszy prześladowca, odkrywszy ją, goni i wkońcu pochwyty¹⁾.

Słonka nie lubi i znosi ciepła; pocieszną przed-

¹⁾ W moich «Zapiskach ornitologicznych» opisałem spryt i wytrwałość jastrzębia-gołębiarza w prześladowaniu słonek, z nich przypomnieć muszę, że on poluje na słonki, jak człowiek. Siada na drzewach i obserwuje, gdy się zerwą, goni i w locie chwytą, mimo szybkości lotu słonki, kominków i zygzaków, piechotą też za nimi chodzi, łapie na ziemi lub zmusza do poderwania. Przypominam sobie jastrzębie, które z nami polowały jak wyuczone sokoły i w naszych oczach łowiły słonki, wypłoszone przez naganiaczy. Jaki to ptak odważny i zdecydowany, osądzić można z następnego wypadku: Zrywa się przede mną słonka, jastrząb, jak *deus ex machina*, zjawia się nad głową moją i łapie ją; ja strzelam, lecz, poruszony, chybiam, on nie puszcza swej ofiary, siada w odległości kilkuset kroków i poczyną skubać pierze. Podkradam się i trafiam go drobnym śrutem, on słońkę unosi i siada w drugim miocie, gdzie wreszcie ubiłem rabusia na ptaku już do połowy zjedzonym. Gołębiarze często zwiastują nam słonki, więc gdy je po drzewach znajdujemy, a niema w lesie jarząbków, ulubionego ich przysmaczku, szukajmy napewne słonek. W czasie legu sroki i sojki wypijają jaja i wypatrują pisklęta, a pomimo ponoszonych corocznie rozlicznych klęsk w podróży, na ciągu i na legowiskach, ptaki te mnożą się często do liczby zdumiewającej.

stawia postać przy wyższej temperaturze. Leży na brzuchu z obwisłymi skrzydłami, koniec dzioba nieco otworzony i do góry zagięty, widocznie z trudnością oddycha; taka słonka siedzi twardo i nogą ją niemal ruszyć można w południowych godzinach. Ten wstręt do ciepła wyjaśnia nam pobyt słonek w górach i w północnych krajach, a nas, myśliwych uczy, abyśmy ich szukali na wiosnę na stokach południowych i wschodnich, gdyż tam znajdują najwcześniejszy żer, w jesieni zaś na północnych i zachodnich z cieniem i chłodem.

Mają słonki swe ulubione miejscowości z powodów nieodgadnionych, bo tam ani więcej żeru, ani wody niema, niż w innych, a jednak corocznie tam zapadają, kto więc pozna i odkryje te krzaki, ma wielkie ułatwienia w polowaniu. Niech nikt nie mniema, że te siedziły słonek są stałe i trwałe, zależą one od utrzymania lasu i jego zwartości, gdy n. p. siekiera przereździ gąszcze, to słonki opuszczają je, szukając w innych schronienia. Wiadomo, że glisty stanowią główne pożywienie słonek, przebywają więc głównie w lasach przy miękkich rolach, na których rano i wieczorem żerują. W lasach szpilkowych nie lubią zapadać, zwarte gąszcze, nie pozwalające podlatywać w każdej chwili, są dla nich niebezpieczne, więc stronią od nich, a i dla myśliwych jest tam utrudnione polowanie, bo słonki biegną do linii strzelców i razem się podrywają, zaczęciem zaledwie pojedyncze mogą być odstrzelone. Lasy

mieszane lub liściaste ze spadkami i źródłiskami są ulubionem miejscem ich pobytu, szczególnie gdy przez lato bydło po nich chodziło, w łąkach bowiem znajdują się drobne żuki i tychże larwy.

Pożywienie słonki odrębne i niepodobne do żeru innych ptaków, stanowi dosyć ciekawe badanie. Żer słonek musi być pożywny, gdyż najczęściej są w dobrem ścierwie i zaokrąglone, tłuszczu wszakże na sobie nie mają. Słonki zdradzają swój pobyt rozrzuceniami i przewróconemi liśćmi, jakoteż podziurawieniami łąnami. Niewprawny jednak może być łatwo w błąd wprowadzony, gdyż kosy i drozdy w głodzie, gdy jagód niema na wiosnę, przewracają także liście i dziurawią łąjna, szukając robaczków i poczwarek, w tej wszakże robocie jest różnica. Śpiewaki przewracają pojedyncze liście na dosyć znacznych przestrzeniach dziobami i zostawiają je, gdy słonki kilka od razu naruszają i przedziurawiają je dziobem, zostawiając zlepione zgniłe. W łąkach znowu łatwo rozróżnić; dziury słonek są grubsze i gęstsze, niekiedy zaschnięte łąjno (w świeżych nie szukają larw) jest jak sito podziurawione. Gdy inne ptaki przed połknięciem patrzą na jakość pożywienia, słonka ufając swemu czułemu i giętkiemu dziobowi, połyka owady, nie widząc ich. Dziurawiając zgniłe liście, czasem jeden lub dwa pozostawia na dziobie przy osadzie i wtedy przedstawia się ptak w monstualnych kształtach, liście te usuwa z wielką trudnością nogami lub dziobem, ocierając o gałązki. Instynkt, wprawa, zręczność, doświad-

czenie podziwienia godne u słonek przy szukaniu pożywienia, niejedno łajno pominie, na błocie lub roli pulchnej, pobiegnie kilkanaście kroków, nie kłując dziobem, to znowu łajno dziurawi jak sito, lub też miejsce koło miejsca szturka w ziemię, czasem swą pracą tak zajęta, że daje się zejść na kilka kroków. Głębiej utkwione glisty wydobywa z wysileniem, wtedy się nogami zapiera, ciało wtył chyli, i wydobywszy, pożera. Często też w dzień żeruje, gdy się czuje bezpieczną, zdarzało mi się strzelać słonki, którym glista wisiała u dzioba. Przewracając liście, szuka drobnych ślimaczków do nich przylepionych i połyka je wraz ze skorupą, w głodzie zmuszona zjada zeschnięte i obumarłe drobne żuki. Przy rewizji wnętrzu słonki spostrzegamy części roślinne, lecz nie śmiem twierdzić, jakoby one stanowiły jej pożywienie, prawdopodobnie połyka je wraz z robakami.

Ostrożny i lękliwy ptak rzadko żeruje w dzień na otwartych miejscach, w lesie czyni to w przedpołudniowych godzinach, gdy się czuje zupełnie bezpiecznym. Pocieszna to ptaszyna krocząca poważnie z uwagą, z pionowo spuszczonego ku ziemi dziobem; stanie, rozgląda się, szturkuje w ziemię, to znowu coś skubnie na listku, a nieustannie słucha i rekognoskuje. Ku południowi poczyną drzemać i pozostaje w soporycznym usposobieniu nieruchoma. Nad wieczorem najczęściej piechotą biegnie na krańce lasu, aby się przy zachodzie słońca zerwać i polecieć na polne żerowisko. Znajdujemy słonki wieczorami na drogach leśnych

i linjach, po łączkach, na których pasło się bydło, najczęściej na pastwiskach krzakami zarosłych. Znaczna część słonek wylatuje z lasu, dążąc na mokre, miękkie role, tam upatrzywszy miejsce z glistami, kłuje nieustannie w ziemię, często nie posuwając się wcale, widocznie instynktem podziwienia godnym wykryła obfite gniazdo glist. Łajna końskie rewiduje lecz nie dziurawi, o ile mi wiadomo, pazurkami rozdrapuje i wyszukuje larwy. Nad ranem opuszcza role i powraca do lasu, w nocnych zaś godzinach śpią słonki na żerowiskach, inne, zaspokoivszy głód, śpieszą do zarosli, a rano przed wschodem słońca powracają na upatrzone miejsca. W tych wycieczkach najdobitniej charakteryzuje się ich popęd do samotności, istne to pustelniczki nie szukające towarzyszek. W lesie bywa czasem kilkanaście słonek pojedynczo siedzących, wieczorem znowu pojedynczo wylatują i każda osobno żeruje. Widzimy ptaki śpieszące do drugich, gdy je posadzają, że znalazły obfite żer, słonka przeciwnie obojętna na czynność drugich, wyłącznie sobą zajęta. Ta sobkowość do tego posunięta stopnia, że jedna drugiej nawet nie wypłoszy, gdy się zrywa. Przy parowaniu czubią się i biją, w innych porach nigdy nie widziałem dwóch słonek w niezgodzie, jedna drugą mija jakby obcego ptaka. W głodzie szukają pożywienia na spróchniałych pniach, rozdrapując pazurkami i rozrzucając dziobem trociny, aby się dostać do larw owadów. Zdawałoby się, że mrowiska dają najobfitsze słonkom pożywienie, doświadczenie jednak uczy, że ich nie szu-

kają, nigdy na mrowisku nie zastałem słonki, ani też o tem w jakiej książce czytałem. Czy nie lubią tego pożywienia, czy ruchliwość mrowiska je straszy, czy też lękają się dokuczliwego kłosa mrówek, odgadnąć trudno, zdaje się wszakże prawdopodobnem, że larw mrówczych nie spożywają.

Zdawałoby się, że słonki łatwo strzelać przy wylatywaniu z lasu, a dzieje się przeciwnie i nigdy żadnej ubić nie zdołałem. Słonka cicho i tajemniczo wybiega z lasu na kraj, zrywa się niespodzianie i ponad czarną ziemią ciągnie, więc jej na cel wziąć nie można. Nieraz pokazywano mi miejsca, w których wylatywały, widziałem je, lecz nawet strzelić nie mogłem. Inaczej się dzieje z powrotem ptaków do lasu przed wschodem słońca, bywa to polowanie intratne dla myśliwych rannych ptaszków. Wypatrzone i zapowiedziane w jesieni miejsca ciągu, ułatwiają wyszukanie odpowiednich stanowisk pod ścianą lasu; słonki w swem bezpieczeństwie dotąd nienaruszonym, podrywają się z roli, wznoszą nieco i nadciągają wolnym lotem sów ku myśliwym, strzelane zaś, zmieniają później kierunek. Znałem kilka takich lasów i dziwiło mnie niepospolicie, że leśniczowie przynosili po kilka słonek rano, zagadka wyjaśniła się opowiadaniem powyższem. Oczywiście ciąg ten zależy od bliskości roli, a zatem musi być corocznie wypatrywany i studjowany. Na niskich krzakach można i w jesieni na ciągu przy wielkiej uwadze i bystrym wzroku, gdyż słonki ciągną bez wydawania głosu, strzelać o księży-

cowem światłem, nie tylko lecące na żer, ale też ciągnące do nas z dalekich stron, a zapadające dla odpoczynku. Nigdy nie mogłem odgadnąć, czy wieczorem czy nad ranem odbywa się liczniejszy ciąg, zdaje mi się wszakże, że zawisł on od odległości, wiatru i wybranych stacyj, gdyż dostrzegłem tak rano jak i w wieczór przybycie słonek, których przedtem nie było. Nader często spotykamy w polu wieczorem pojedyncze ptaki siedzące lub wachlujące na podobieństwo sów, nie jeden w życiu widział ich kilkadziesiąt, nie oznaczwszy sobie gatunku ptaka. Każdy ciąg wiosenny czy jesienny, pełen powabu i uroku, zmusza myśliwego do polowania na te ptaki, wzbudzające nieodgadnione wzruszenie, kuszące nas nieustannie, zmuszające do badań, bo to stworzenia odrębnej natury i zwyczajów, odsłaniające nam ciągle wiele tajemnic z ich życia.

P o l o w a n i e na słonki jest według mego zdania wzruszające, dziwnie elektryzujące cały organizm myśliwego, każde jest odmienne i zabawne, ile miotów tyle niespodzianek, najwytrawniejszy weteran myśliwski nie zdoła przepowiedzieć, jak upatrzone czy wysłędzone wylatywać będą. Nie znam większej myśliwskiej rozkoszy, jak w jesieni, gdy mnogo jest słonek i licznie wylatują. Wołania naganiaczy bez przerwy *tire-haut* i pilnuj, drażni nerwy i rozgorączkowuje do tego stopnia, że najwprawniejsi strzelcy chybają słonki wylatujące na szerokie drogi, linje lub łączki leśne. Zdarzało mi się widzieć towarzyszków porzucających broń w przekonaniu, że zepsuta, lub też niestrzelających

w kilku miotach, aby uspokoić gorączkowe usposobienie. Zaiste ptak to dziwnie odmienny, w swych ruchach zwinny i nieporównanej w potrzebie szybkości, oszukuje nas nieustannie swymi lotnymi figlami i niespodziankami, po wieloletniem nawet doświadczeniu niejeden wykrzyknie: «a tego się nie spodziewałem!»

Spłoszona słonka, gdy wyleci na linje lub drogi, szyje prosto równym lotem, a mając w tyle głowy oszczone oczy, jak zając, nie widzi przed sobą. Krocie razy zdawało mi się, że mnie w brzuch lub twarz dzióbem ukłuje i musiałem się jej zdrogi ustąpić. Patrząc na nią przez chwilę, ustępując na bok, zdawało mi się, że ją trafić muszę, a jednak po strzale uleciała zdrowa. Nie można przewidzieć, co ona uczyni, gdy myśliwego zobaczy, każda wypłata jakiegoś figla, to stanie przez chwilę w powietrzu na linji, to w chwili strzału daje kilka kominków, to zygzakowatym, pośpiesznym lotem poszyje w drugi miot, często w niebezpieczeństwie rzuci się nazad w przebyty gąszcz jak kamień. Przed naganiaczami w drzemce zaskoczona, miota się z hałasem, ostrzeżona i uważna podbiegnie, szukając rzadszych krzaków lub odkrytego miejsca do poderwania się, albo biegnie jak chruściel i często jawi się u nóg myśliwego. Nie płoszona wachluje ponad krzakiem wolnym lotem i łatwa do ubicia, gdy ją pierwszej zobaczymy, jak ona nas. Spędzona krzykiem leci szybko, zatacza półkole i zapada w oddaleniu, często poza linją naganiaczy. Łatwo odróżnić słonki, znające grozę polowania, takie wylatują często przez

chłopców niedostrzeżone i wcześniej szukają ratunku w dali. Patrzeć trzeba koniecznie wgłąb miotu, aby zobaczyć biegnącą słonkę, która podobna kolorem do ziemi liśćmi okrytej, ruchem jedynie się zdradza, gdy jej biegnącej nie zabijemy, przerzuci się jak błyskawica przez linję i nie dozwoli strzelić do siebie. Niektóre słonki z trudnością dają się wypędzić na myśliwych, mianowicie wtył wracające lub warujące pod pniakami lub korzeniami krzaków, wtedy należy miot w przeciwnym kierunku gonić, a naganiacze muszą kijami bić po krzakach. Doświadczenie nauczyło nie gonić słonki pod górę, bo one tam lecieć nie lubią, jak i z wiatrem dmącym pod pierze. Często takie niesforne słonki, gdy je w innym kierunku goniłem, wylatywały posłusznie na myśliwych. Zrywająca się słonka i górująca już ponad krzakami, zawsze stanie w powietrzu nieruchoma, wprawdzie tylko na mgnienie oka, ale dla strzału wystarczająca to i korzystna chwilka. Szczególnie kto z wyżłem poluje czyli jak mówią buszuje, nie powinien strzelać do zrywającej się słonki wśród prętów i gałązek, lecz wyczekać tego zatrzymania się w powietrzu. Wstrzymuje się widocznie w celu obrania kierunku lotu. Postrzelona traci przytomność i nie ucieka, lecz waruje lub podskakuje na miejscu; zabita należy albo zaraz podnieść, lub też dokładnie miejsce upadku upatrzeć, bez zachowania tej reguły niejedna przepada z powodu podobieństwa do gruntu, na którym leży. Nic piękniejszego, jak widok gonionych słonki na łąki lub pola, gdy się wypędzić pozwalają, bo

często wobec otwartego miejsca cofają się ponad głowami naganiaczów. Nie widząc pod lasem stojących myśliwych, wylatują spokojnie i półkołem powracają do lasu. Nad wieczorem, gdy się zbliża godzina żerowania, dają się słonki wygonić i zamiast powracać do lasu, lecą na role. Wyznać muszę, że słonki srogo strzałami prześladowane wracały, zdarzało mi się jednak widzieć często ptaki niepowracające do lasu, a gdy światło dzienne dozwalało strzelać, kazałem gonić role, a strzelcy stawali pod drzewami, i o dziwo! żadna słonka do krzaków szybować nie chciała, lecz cofała się i ponownie na roli zapadała.

Gonienia słonek trzeba się uczyć, jak każdej czynności; są kierunki, w których słonki nie polecą i wtedy próżna nasza praca. Wypada wiedzieć, gdzie przebywają i w tę stronę gonić, jeżeli na to silniejszy niż zwykle wiatr pozwoli, na słabszy wiatr słonki nie uważają. Należy przestrzegać, aby każdy chłopiec przy zawołaniu *tire-haut!* lub spłoszywszy słonkę, patrzył za nią i starał się dostrzec miejsce, gdzie zapadła. Całe polowanie odbywa się w niższych lub wyższych krzakach i niezawsze widzą myśliwi drugi miot lub inny oddalony, naganiacze zaś mają szerszy przed sobą widnokrąg. Na te spłoszone czy zapadłe słonki, jeżeli kilka ich w jednym ostępie zapadło, trzeba zaraz polować, bo te ostrożne i trwożliwe ptaki mogą się zerwać i ulecieć, lub też na nogach szybko podążyć do sąsiedniego miotu. Jak już wspomniałem, na płoszone strzałami, pojedyncze, cofające się poza na-

ganiaczów, lub ku niebu świdrujące i odlatujące w dalekie strony ptaki nie warto polować, szkoda zachodu, one, jak rogacze, wyrozumowały sobie całe niebezpieczeństwo. Gdzie trawy rosną lub bujny i wysoki mech, tam słonki nie zasiądą, one instynktem szukają przestrzeni zgniłym liściem zarzuconych, podobnego koloru do swego pierza. Są ulubione miejscowości, znane nam czasem, do których dążą słonki, na wskazane przez przyrodę stacje, na nich zapadają niemal co roku, tak, jak my zajeżdżamy do tych samych hotelów. Ktoby mniemał, że tu wychowane lub często w owych miejscach przebywające słonki prowadzą wędrowców, tenby miał mylne mniemanie. Kto i gdzie wskazał etapy, nikt nie odgadnie, a ornitologowie i myśliwi przekonali się o rzeczywistym istnieniu tychże, z każdego gatunku ptaków, badanych na ciagu. Jeżeli słonki zmieniają w części swe stacje, przypisać to musimy wiatrom i atmosferycznym przeszkodom, gdy zaś je opuszczą zupełnie, to niezawodnie miejscowość musiała być przeistoczona. Znam ubocza i krzaki, w których co roku zasiadają słonki w jesieni i na wiosnę, wcześniej lub później, lecz zawsze dążą do tych stacyj. Wystrzeliwałem wszystkie do nogi, ten sam los spotykał drugi i trzeci ciąg, a w przyszłym roku na tych samych miejscach zapadały inne, obce słonki, więc były to stacje widocznie instynktem wskazane.

Ostrzec tu jeszcze muszę myśliwych, aby z wielką ostrożnością składali się do biegnącej lub siedzącej słonki, bo ona przenikliwymi swemi oczkami zobaczy

najmniejszy ruch i dziwnie zręczna w ratowaniu swego życia, w chwili strzału skoczy za pniak lub wsunie się w krzak, albo wtył uleci bez strzału. Niekiedy miewa lat desperacki, mianowicie gdy bardzo spłoszona wpada wpośród koronę drzewa, tłucze się o gałęzie i wkońcu z trudnością wydobywa się na wolną przestrzeń.

Najważniejsze dla myśliwych, aby znali sposoby szpiegowania przylotu i odlotu słonek bez znacznych kosztów, bez płoszenia hodowanego zwierza. Ciąg odbywa się najczęściej tak w jesieni, jak na wiosnę w czasie zakładania kultur leśnych, szkólek, przesadzania sadzonek i t. d. U siebie zaprowadziłem od niepamiętnych czasów ten zwyczaj, że robotnicy wieczorem przeganają jeden lub dwa mioty, w których prawdopodobnie słonki znajdować się mogą milczkiem, i tego systemu radzę się trzymać. Przeganianie liczną nagonką jest kosztowne i wypłasza zwierza, szczególnie ono szkodliwe na wiosnę, gdy sarny i zajęczyce kotne wymagają spokoju. Przy pilnym i troskliwym dozorze straży leśnej jest jeszcze inny łatwiejszy i pewniejszy sposób. Wiadomo, że słonka z własnej woli nigdy się z gąszczu nie poderwie, lecz wybiega na linje, ścieżki, drogi lub leśne łączki, na których żeruje. Jeżeli wieczorami i nad ranem gajowi chodzą po tych miejscach, zawsze spłoszą słonki, gdy są w rewirze. Na wiosnę szpiegowanie o tyle łatwiejsze, o ile słonki krążą, szukając się wzajemnie, później zaś nader łatwo je wykryć po wydawanym głosie. Jak już wyżej wspomniałem, trzeba słonek szukać, gdy ich jeszcze niema, zwa-

szcza przy lekkim wietrze wschodnim na wiosnę, zachodnim lub północnym w jesieni. Krocie razy meldowano mi o nieobecności słonek, towarzysze twierdzili, że nie było ciągu i niejedna partja poleciała do Arabów lub do Szwedów i Huculów z powodu niedokładnego szpiegowania. Doświadczenie nauczyło nie szukać słonek na wiosnę w rzadkich krzakach, ani też w lesie, ku północy zwróconym, a szukać ich w jesieni w zaroślach na północ i zachód położonych. Nauczyło też ono nas nie szpiegować w czasie zimnej słoty i wichrów po krzakach, bo wtedy chronią się do gąszczów i wysokopiennych lasów. W rewirze, znanym jako słonczy, przypominam sobie kilka polowań bez powodzenia w krzakach, a gdyśmy weszli do spokojnego zacisza leśnego, ruszyliśmy znaczną liczbę słonek. Chronią się one do lasu, ale przy powrocie słońca i ciepła znowu wylecą i pobiegą do krzaków i pastwisk zarosłych. Wielu myśliwych ma zwyczaj szukania słonek z wyżłem, jeżeli pies pewny i spokojny, w krzakach niskich i miejscach ułatwiających strzelania, polowanie jest zajmujące i nader przyjemne.

Osiągnięcie znacznych korzyści i użycie wielkiej przyjemności przy niepospolitem zmęczeniu, uważam za wyjątkowe. Najczęściej wyżół, nie słysząc przy sobie upominającego głosu, zapomniawszy o srogim batogu, szuka w oddaleniu, staje w nieprzystępnem miejscu i mimowolnie, nie doczekawszy się strzelca, spłoszy słonkę, lub zerwie się ona w drągowym gąszczu, wreszcie i najlepszy legawiec ulegnie pokusie i pogoni

za sarną lub kotną zajęczyą, uciekającą z wysileniem. Znałem uroczę na podgórzu zarośla, zwane czahurami, był to istny raj dla myśliwego. Krzaczyste, rozłożone gałęzie liściaste, wypuszczone z pnia dębowego, pojedyncze jodelki lub kępy skarłowaciałe przez spasanie świerków, klomby kalin, gdzieśgdzie gąszczaki olszynek, nadeschnięte pokrzywy i wędniejące paprocie, obłożone drobnymi ślimaczkami, a wszędzie moczary i źródlika, pełne larw i robaków. Wszystkie zarośla były niższe od myśliwego, więc strzelanie i szukanie łatwe; niekiedy na niezbyt szerokiej przestrzeni było kilkadziesiąt słońek. Dzień jeden, szczególnie zachwycający, zapisany w mojej pamięci; polując z wyżłem, ruszałem w krzakach, parówkami poprzerzynanych, słonki, cietrzewie, chruściele i znaczną ilość sarn, pomknęła też przed psem w niewielkiej odległości niedźwiedzica i podpędzała łapą swego piastuna, goniąc go na leśną ubocz. Opowiadano mi, że gdy przedwczesne śnieżyce spędzą z gór słonki, lub one przed wędrowką zapadną w czahurach dla spoczynku i zorganizowania podróży, wtedy ich czasem bywa na ciasnej przestrzeni po kilkaset. Dwaj moi znajomi, w jesieni, jeżeli się nie mylę, polując z wyżłem, zabili w kilku godzinach przeszło 40 sztuk, a gdy nazajutrz wybrali się dobrze przygotowani do mordowania wędrowców, już ich nie zastali. Jak do wszystkiego, tak też do ciągu potrzeba szczęścia, jednego dnia bije się sto ptaków, drugiego ani jednego.

Znam jeszcze jedno nader miłe i łatwe polowa-

nie, dostarczające znacznej zdobyczy, w Galicji zupełnie zaniedbane. Kraj nasz, poprzerzynany licznymi rzekami, z brzegami zarośniętymi wierzbą czyli wikliną, rosnącą na namuliskach; gąszcze te zwane ispami, wiklinami i łozami, są kryjówką różnych stworzeń. Najczęściej są to długie, wąskie paski, nader gęste, podszyte dzikim chmielem i pokrzywami, pełne kałuż z wodą i kałabami, więc dają bezpieczne schronienie i obfity żer. Szczególnie w porze ciągów, gdy wielka posucha odstrasza słonki od pagórkowatych, suchych lasów, ciągną one tłumnie korytami rzek i w tych wiklinach zapadają dla odpoczynku i pożywienia. Nader łatwo przekonać się o ich przybyciu, jeden bowiem człowiek z legawcem lub też bez psa spędzi siedzące tam znużone słonki, byle ta kontrola odbywana była codziennie. Kilku chłopców wystarcza do wypłoszenia wszystkich. Najczęściej jedna ispa dosyć oddalona od drugiej, słonki w biały dzień niemają odwagi przełatywać z jednej do drugiej, okrążają więc wiklinę i jeżeli nie są ubite, zapadają ponownie; niekiedy jednak lecą na rzekę i giną na przeciwnym brzegu. Takie zaskoczone słonki wybijałiśmy co do jednej, dały się bowiem kilka razy gonić. Nigdy nie byłem uposażony majątkiem ziemskim nad rzekami, więc w takim polowaniu nie mogłem nabyć większego doświadczenia, wiele wszakże słońek, polując w ten sposób, zabijałem u znajomych. Jednego dnia wystrzelałem wszystkie ładunki nad rzeką Świecą i powróciłem w południe do domu; drugi raz nad Wisłą roili się słonki przez kilka

dni; wreszcie przed trzema laty, po wylewie rzeki Stryja, nadleciała nie do obliczenia mnogość słońek na te świeże namuliska w październiku. Znając tysiące morgów wiklinowych wszcz i wzdłuż Galicji, uważałem za rzecz pożyteczną zwrócić uwagę kolegów myśliwych na te miejscowości, mogące dostarczyć wielkiej przyjemności i niemałego zapasu zdobyczy. Od kilku lat już płacą kupcy za słońkę po 1 złr. i chciwie ją kupują, więc polowanie na te ptaki nietylko jest nader miłą rozrywką, ale może pokryć koszt polowania, a przy obfitym ciągu dostarczyć nawet dosyć znacznego dochodu, zawsze nader pożądanego. W tym roku otrzymałem za słonki 223 złr., a przy większej zabiegliwości i znaczniejszej liczbie strzelców z łatwością można było wysłać na sprzedaż 300 ptaków. Rozmyślnie podaję tu te uwagi i cyfry, aby przekonać o korzyściach polowania, opłacających sowicie trud szukania i szpiegowania słońek w czasie ciągów.

Jak już wspomniałem, ród ten ptaków ma licznych wrogów, prześladujących go zaciekle, szczególnie jastrzęb-gołębiarz dziesiątkuje słonki i dopóki w lesie bawia, on ich nie opuści; również lis łowi ich wiele w czasie drzemki południowej, podkradając się zręcznie; inne też ssaki drapieżne i ptaki niszczą słońek krocie. Ginie też słońka w sposób u innych zwierząt nieznan i przez wiele ludzi zaprzeczony. Słonka ciągnie szybko, mając oczy osadzone na bokach tylnej głowy, nie dostrzega drutu telegraficznego, uderza głową czyli czołem o niego i pada trupem. Nie do uwierze-

nia to, jednak prawdziwe, przez budników kolejowych udowodnione, że na linjach jedynie galicyjskich kilkaset słońek rozbija się o druty telegraficzne. Ilość owych ofiar pomnoży się znacznie, gdy z gór zlatując, tłuc się będą o druty na podgórskich obecnie wybudowanych kolejach. Pomiędzy Lwowem a Brodami musi być ciąg z leśnych okolic nader liczny, bo na tej linii podnoszą budnicy często rano martwe słonki. Znałem jednego, który się chwalił podjęciem 7 czy 8 słońek w jesieni. Dowiadywałem się, czy na wiosnę znajdują słonki — zawsze odpowiadano mi przecząco, więc słonki widocznie w porze wiosennej nie lecą tłumnie i jedna drugiej nie napędza. Jest to niebezpieczeństwo dla słońek zupełnie wyjątkowe, a obejmując myślą przestrzenie europejskie, zastawione drutami, łatwo sobie wyobrazić poważną liczbę marnie ginących ptaków, czemu, niestety, nikt zaradzić nie zdoła.

Znajdujemy często słonki w niewłaściwych miejscowościach, po miedzach, cierniach, chwastach, a nawet na gołym polu, są to wyjątkowe zapadania, spowodowane przypadkowymi przyczynami podczas ciągu i zaskoczeniem słońek przez światło dzienne słońca, które je zawsze zmusza do szukania na ziemi schronienia wskutek wrodzonej lękliwości i unikania miejscowych i wędrujących drapieżców. Podczas ciągu słońka mniej płochliwa, a ciekawa; wobec ruchu składającego się strzelca nie ulatuje i ledwie na kilka stóp się usuwa, na kolumnę dymu leci obces i okrąża ją; niemal co wieczór mówił mój furman o pojawianiu się

słonek. Gdy ciągnie podczas jasnego wieczora, uderzy bez wahania na ciemną chustkę, podrzuconą w górę, w mniemaniu, że to ptak, lecz do takiego eksperymentu potrzebny jest ktoś, który przedmiot podrzuca, bo słonka, poznaawszy mistyfikację, nader śpiesznie ulatuje, czem utrudnia strzał.

We Francji wywodzi się prawdopodobnie wielka ilość słonek w górach Wogezów, Pirenejów i Jurajskich, sądząc z ciągów, jakie widzimy niekiedy u stóp tych gór w jesieni. Zmyślni Francuzi wynaleźli nowy sposób polowania: przyczepiają wyżłom dzwonki i już się o nie nie troszczą, wysłuchując tylko głosu dzwonka, który gdy zamilknie, idą w to miejsce, ku stojącemu wyżłowi. Psy w stronach, gdzie polowałem, oryginalne i rozpowszechnione, zowią się *braques* i podobne są do gryfonów. Sierść dosyć długa, stercząca i ostra, nogi nieco krzywe, pazur tylny znaczący się długością, maść ciemna lub kasztanowato-srokata. Są wolne, posłuszne, z ostrym wiatrem, lecz dla oka wstrętne. Wówczas na podgórzu Wogezów niewiele wprawdzie było słonek, ale pies zawsze przestawał dzwonić i Francuz biegł ku niemu. Do takiego polowania potrzebny dzwonek cichy, więc też słuch dobry, a miejscowość dogodna do strzelania.

Krocie sposobów wynajdywali ludzie do łowienia tych ptaków, większa ich część poszła w zapomnienie, przy udoskonaleniu palnej broni, niektóre dziś jeszcze praktykowane na wyspach i u nas przez chłopów i kłusowników, ale myśliwi europejscy polują tylko ze

strzelbą. Koło Lipska jeszcze do r. 1830 zastawiano w czasie ciągu sieci podobne do płotek, używanych do łowienia kuropatw, z szerokimi oczkami, a ztyłu drugą sieć nieco wiszącą, z cieńszego szpagatu. Czy w jesieni łowiono słonki, tego wiedzieć nie mogę, lecz zastawiano sieci po zrębach na wiosnę. Aparat to wymagający kilku pracowników, bo sieci są na dwa sążnie wysokie, stawiane na drążkach ponad krzaczkami; w nocy zbieranie, odnoszenie, często i przemoczenie, następnie suszenie, czyniło tę pracę niewdzięczną, dla złowienia jednej lub dwóch słonek ciągnących. Gdzie w jesieni gęsto zapadają słonki, można je łowić na płotki, przeznaczone do łapania kuropatw, jeżeli się napoprzek przestawi siatki przez miot lub na zboczy, ale sznurki muszą być grubsze, bo ptak rzutny i silny potarga słabsze siatki.

Sposobem nader prostym i łatwym, praktykowanym przez naszych kłusowników na znacznych przestrzeniach, jest łowienie słonek na sidła, podobne do używanych na kosi i drozdy. Na kabłąku, którego dwa końce wbite są w ziemię, wisi w środku oczko (pętka), zwane kulką; gdy ptak wsadzi głowę w oczko i poruszy się, ściąga się kulka, ściśnię mu szyję i dusi. Słonka chodzi zawsze ze spuszczoneym dzióbem ku ziemi, sidełko z włosia musi zatem samej ziemi dosięgać; gdyby wyżej wisiało, toby ptak pod sidłem przełaził. Włosie powinno być we dwoje skręcone, aby utrzymać trzepiącego się przy skonie ptaka. Jeżeli linja od końca do końca jest takimi kabłąkami zasta-

wiona, a w miocie są słonki, to z pewnością znaczna ich część zawisnie w siódlach, oraz można złowić wiele kosów, drozdów nieustannie skaczących i kuropatw, jeżeli są w krzakach. Należy raz lub dwa razy na dzień przejrzyć siódlą i wyjąć złowione ptaki, aby ich drapieżniki nie pochwyciły, najważniejszy zaś dozór nad ranem, gdyż przed wieczorem łążyły słonki za żerem i wychodziły z krzaków. Znałem kilka takich miejscowości, w których można było złowić na dobę kilkanaście ptaków, gdyż w miocie rozległym na 20 morgów bywało po 40 do 50 słonek; wolałem je jednak strzelać i nigdy nie zastawiałem zdradzieckich siodeł, ani zastawiać ich nie pozwalałem.

Już to utarte i rozpowszechniane zdanie o starcach, chwalcących przeszłość, w której oni byli młodzi i dobrze im się działo na tym Bożym świecie, więc i mnie spotkać może ten zarzut. Przyjmę go z pokorą, ale będę się starał udowodnić, że w niektórych kierunkach nasze myślistwo nie doznaje odpowiedniej pomocy. Gdzie dziś szukać górali i huculów, znających każdy przesmyk zwierza, jego łęgowiska i barłogi, tokowania kniejotków, przeloty i ciągi słonek, miejsca żerowania i stanowiska na wychodnego zwierza? Gdzie się podzieli ci, co za pół cwancygiera, z kwaterką maki kukurudzianej lub z plackiem owsianym w zapasie, śledzili zwierza od wschodu do zachodu słońca i z pewnością go wypatrzyli? Gdzie są ci sławni kłusownicy, którzy stępami łowili niedźwiedzia, drutami sarny, żelazami drapieżne ssaki, siódlami grzebiące ptaki, w zi-

mie zaś krocie kwiczołów, co zawsze z podziwieniem badałem? Gdzie są ci genjusze leśni, śledzący kuny, odbywający istne podróże leśne, nie schodząc na ziemię i po trudach kilkugodzinnych łowili je psami — sztuka zaiste zdumiewająca! Albo ci, którzy wabiem sprowadzali mi pod nogi lisy i na strzał wilki, co znali barłogi dzików, wysledzali gawrujące niedźwiedzie? Na zawołanie stawało takich artystów kilku do wyboru i oddawali się dyspozycji, przyjmując nagrodę dopiero po złożeniu dowodów sumiennej i praktycznej pracy. Wtedy to strzelba była w rękach niewielu, strzelano z pistoletów lub rusznic szpagatem powiązanych i przez miejscowego kowala polutowanych, potrzeba więc, ta matka wynalazków, wytworzyła liczne sposoby łowienia ptaków i zwierząt, już to dla zysku, już dla bezpieczeństwa. Nie tu miejsce do opisu różnych łapek i siodeł, więc opiszę jedynie nader tani, prosty i łatwy sposób, używany do łowienia słonek na ciągu jesiennym. Przebiegły kłusownik poznał dokładnie życie i zwyczaje słonki, podpatrzył, że ona nigdy nie skacze i przez żaden przedmiot nie przeskoczy, lecz obchodzi go, więc postanowił, iż wypada jej drogę zagrozić. Wyśledziwszy spasane byłem ubocze gór i pagórków, licznie przez słonki obsiadłych, począł grodzić płotki na wysokość jednej stopy, a co 15 lub 20 kroków wycinał siekierą kwadratowe miejsce, na stopę wysokie i tyleż szerokie, tam zawieszał dwa włosienne siodełka i taki płotek prowadził aż do szczytu góry. Żerujące słonki, przyszedłszy do płotu, niczem zbyt się

nie różniącego, zreknoskowawszy dokładnie i z uwagą, idą powzdłuż płotu, a ujrzawszy otwór, śpieszą się dostać na drugą stronę i zawieszają głowy na siłkach. Sposób to niezawodzący, gdzie żerują słonki. Ci ludzie opowiadali mi o wyjmowaniu rankami kilku i kilkunastu ptaków. Niejeden z czytelników rzucił moją ramotkę, wołając z oburzeniem: «Dzięki Bogu, że ci ludzie wymarli!» Oparty na długoletnim doświadczeniu, studjowałem owych prostaczków, rozbudzających nigdy niezaspokojoną ciekawość; potępiałem bezwzględnie klusownictwo i przypuszczam, że ta szkoła myśliwych byłaby się dała utrzymać za znacznem, unormowaniem wynagrodzeniem. W tych prostaczkach odkrywałem ogrom wiedzy, opartej na pewnikach niezbitych, przekazywanej z ojca na syna, często ich twierdzenie sprawdzałem i przekonywałem się o nieomyślności tych ludzi. Dodać tu należy wrodzoną ciekawość, talent badania, niezmordowane poświęcenie, a będą to typy, jakich już niema między nami.

W niektórych miejscowościach bywają po zebraniu siana spasione łąki, zarośnięte gęstemi łozinami, kępy wilgotne, w których często chroni się bydło przed dokuczliwymi owadami, gdy tam zapadają słonki, tworzy się rajska rozkosz dla myśliwego. Pies staje przed krzakami, a słonka żadnym pręcikiem nie zasłonięta, pojawia się w całej swej postaci. Spostrzegłszy wkoło otwarte pole, myśliwego i legawca, zatrwożona zatrzymuje się przez chwilę w powietrzu i daje nader łatwy strzał, lub też bez strzału kryje się w drugiej kę-

pie, nie mając odwagi lotem dążyć do lasu. Przypominam sobie dzień, w którym we trzech ubiliśmy przeszło 30 słonek, zapadających nieustannie po łozach. Z początku moi towarzysze nie wierzyli, iżby słonki w tych miejscowościach przebywać mogły i byli pewni, że psy wystawiają kurki i chróściele, a wkońcu tak byli tem polowaniem zachwyceni, że po zachodzie słońca jeszcze słonek szukali. Przywiedzione tu przykłady służyć mogą myśliwym jako dyrektywa w szukaniu tych pończotnych ptaków podczas posuchy.

Słonka zaokrąglona w jesieni, z trzewiami pełnemi miłej goryczy, jest nader smacznem i wielce cennem pożywieniem, ale wnet się przejada. Na wiosnę bywają te ptaki chudsze, z twardem mięsem i tyle tylko do użycia, o ile wtedy gospodyniom czuć się daje brak zwierzyny. Słyszymy ciągle z ust ptasich amatorów upominanie, aby słonkę bardziej szanować i oszczędzać, nie strzelać jej na wiosnę. Według mego zdania i doświadczenia nie potrzebują te ptaki naszej ochrony, bronią się one same wobec nas i mnożą niepospolicie, pomimo, iż żadna parka nie wychowa więcej piskląt, jak cztery. Czytając opisy Karola Brzozowskiego, liczby widzianych słonek w Syrii, raporty o ubitych słonkach na brzegach Szwecji, Norwegji, na wyspach północnego i Bałtyckiego morza, na wyspach Śródziemnego, można z spokojnem sumieniem strzelać je na wiosnę i w jesieni z tem przekonaniem, że nawet dziecięcinę z nich nie wybierzemy. W niektórych okolicach górskich i u nas w Karpatach często latają one

wieczorami jak nietoperze, trudno wtedy nawet w przybliżeniu obrachować ich liczbę. Wziąwszy na uwagę liczne ciągi, zapadające u nas, z których nader mały procent dostaje się do spiżarni, przekonujemy się, że słonki w tajemniczych kryjówkach, niedostępnych dla człowieka, wywodzą liczne potomstwo. Przebywając w górach przez tyle lat, przekonałem się o nieznanej nam liczbie słonek, rozrzuconych po całym pasmie Karpat, dla strzału nieprzystępnych. Na przestrzeni tysiąca morgów, poprutych parowami, jest kilkanaście parok wywodzących kilkadziesiąt słonek, a ponieważ owych lasów jest krocie tysięcy morgów, to można na miliony obliczać wyhodowane słonki, nie biorąc zresztą w rachubę poważnej cyfry ptaków, wychowanych niemal w każdym lesie, przeważnie zaś w mokrych nad rzekami.

Niedosyć znany jest zwyczaj, przyjęty na wyspie Helgoland na morzu Północnem, już wyżej wspomniałem, jak to wszyscy od dziecka do starca wyruszają, aby zabijać czem kto może nad miarę znużone słonki, nie mogące już dalej odlecieć, lecz nie mówiłem o sposobie ich łapania. Przekonali się mieszkańcy, że ptaki różnego gatunku ciągną tłumnie w nocy przez ulice miasta, często pomieszane razem. Owoż zastawiają sieci, podobne do opisanych wyżej pod Lipskiem i zamykają ulicę od ziemi aż ponad dachy. Którykolwiek z wędrowców w tym kierunku ciągnie, ugrzęźnie w siatce i staje się łupem. Często łowienie tym sposobem trwa nader krótko, ledwie przez kilka dni, zawsze

jednak dostarcza obfitej zdobyczy i niekiedy rzadkich egzemplarzów. Przypominam sobie złapanie jednej nocy kilkunastu słonek, brodzieńców, drozdów, a co najciekawsze, stadka żółtych pliszek. Kto nie wie o zastawionych sieciach, może uwierzyć w czary i zaklęcia. Ongi — czy dziś ulice oświetlone, nie wiem — oddawano Panu Bogu troskę o światło w nocy, więc panowała zupełna ciemność. Powracający do domu cudzoziemiec spotyka pierwszą sieć, dziwi się, mota i wreszcie pod domem przechodzi. Ledwie się wydobył z jednej, widzi znowu sieć, klnie, rzuca się i gniewa, wkońcu w rozpacz lamentując, woła o pomoc, aby się wydobyć z tego zaczarowanego świata. Wreszcie gdy podróżny znękany i złowiony, jak ptak wędrowny, już wątpić poczyną, o wschodzie słońca zjawia się brzuchaty Helgolandczyk i w złym humorze mówi: «Tędy się nie chodzi po nocy».

Widocznie odwiedzają ptaki tradycyjnie te liczne wyspy i wysepki, zdawałoby się, że ich siły do tego tylko punktu wystarczają. Dodać jeszcze winienem, że ciągi niezawsze się pojawiają, zależą one od prądu wiatrów, bywają liczne, bywają skąpe w zdobyczy, nie odbywają się też w terminie, raz wcześniej, to później, niekiedy już podczas lodowatego powietrza. To też szpiegowanie ciagu na wyspach jest znakomite i może nam służyć w części za przykład. Od pierwszych dni października mężczyźni i dzieci obsiadają skały nadbrzeżne i wyższe miejsca, pilnując bezsennie przybycia lotnych wędrowców, niema więc wypadku, aby

jaki ciąg bezkarnie się przekradł. Mój kolega, ornitolog, przesyłał mi ze Szwecji zajmujące opisy zapadających nad miarę zmęczonych słońek. Na brzegach morza, w pierwszych zaroślach, często nawet w trawach, tam, jako też na wyspach, tłucze niemiłosiernie długodzioby znakomicie zorganizowana policja. Strzelby, jak wszędzie, są i tu główną podstawą tępienia, ale znużone ptaki dają się też zabijać patykami i nakrywać sieciami (rozjazdami). Tam krociami padają słonki i przepiórki, można cyfrę podnieść do miliona i wykazać rzeczywiście wyrządzone szkody, lecz nie dadzą się powstrzymać, więc z pociechą możemy wyrzec: «niech mordują, zawsze jeszcze pozostanie dostateczna liczba, aby ubarwić dwa razy w roku życie myśliwego».

Muszę to zwrócić uwagę kolegów na niektóre wyjątkowe ciągi i ich przyczyny. Często bywa u nas jesień posuszną, posucha ta trwa przez kilka tygodni, wypija wodę w rowach i kałużach, słonki, pożerając drobne żuki, ślimaczki i skorupiaki, potrzebują wody do trawienia. Wtedy to usuwają się z rowów, znanych z ich ilości, ciągną ku mokrym lasom, na olszynki i zarosłe bagna, opuszczając ulubione pagórkowate krzaki. Przypominam sobie rok, w którym mnie ogarnęła wielka tęsknota za słońkami, października dnie ubiegały do połowy, a żaden raport nie wskazywał przylotu tych ptaków. Mając pozwolenie polowania w sąsiedztwie w niskim położeniu, przypuszczając, że brak wody wypędził owe tak dla mnie pożądane ptaki, po-

jechałem tam z kilku chłopczykami i z wyżłami. Ilość słońek zastałem zdumiewającą nie tylko w łożowych zaroślach i olszynkach, lecz w graniczącym lesie zrywało się po kilka, a nawet spotykałem słonki w pojedynczych krzakach pod lasem. Odbyła się istna rzeź, ale nie mając władzy Jozuego wstrzymania słońca, musiałem z całym orszakiem powracać do domu. Rozgorączkowany tem polowaniem, o jakim marzyć nie mogłem, postanowiłem ponowić je nazajutrz, lecz skutek okazał się wcale niepomysłny. Widocznie słonki wypłoszone były naszym bombardowaniem, bo ledwie kilka maroderów udało się nam zabić i już tam więcej w tej jesieni się nie pojawiły.

Jeśli ta długa, ślimacząca się monografia słonki znudzi czytelników, co by mnie wcale nie zdziwiło, to żadnej odpowiedzialności na siebie przyjąć nie mogę, u wstępu bowiem zwróciłem uwagę na przedmiot nudny i oklepany, niech więc przyjmie odpowiedzialność redaktor, tyle dbały o rozpowszechnienie pisma, pouczającego i ubarwiającego życie nasze, zatrute niejednym kwasem, niejedną goryczą, niech dźwiga ciężar winy, kiedy tę monografię tak skwapliwie przyjął i chętnie ją drukuje. Nadzieja mnie jednak ogrzewa, że tu i ówdzie znajdzie się myśliwy, który w porze wskazanej każe szpiegować przylot miłych i pończotnych długodziobów w swych lasach i krzakach, a jeżeli znajdzie obfity ciąg i dozna rozkoszy polowania, to wdzięczną myślą ku mnie się zwróci. Ciągłe słyszymy o zupełnym braku słońek, o kilku zaledwie ptakach, na

które nie warto polować, żaden jednak z tych pesymistów nie zadaje sobie trudu kontrolowania przylotu i szpiegowania go przez straż leśną. Nie ulega wątpliwości, że nieraz w jesieni i na wiosnę dozna przykrego zawodu, słonki bowiem wędrują różnymi szlakami i nie co roku na tych samych stacjach odpoczywają, więc jeden należycie wyzyskany ciąg wynagrodzi sownie pracę i zachęci do dalszego szpiegowania. Są słoncze drogi, o tem napewne twierdzić można, i temi drogami ciągną one najliczniej, innemi, że tak powiem pobocznymi, nie zapadają po całej Galicji. To samo dostrzegamy w ciągu gęsi i żorawi, z tą różnicą, że jedne w nocy, inne w dzień wędrują, więc łatwe są do badania. Przez kilkanaście lat w różnych stronach zbierałem dane do obliczenia ubitych słonek i rzeczywiście ilość do minimum zredukowana; w szczególności na wiosnę nie bierzemy z ciągu dziesięciny, lecz lichą jałmużnę, a patrząc na bogate mnożenie się tych ptaków, uważam za obowiązek zwrócić uwagę na przeloty i zachęcić do korzystania z nich.

Kończąc moją ramotkę w dniu dzisiejszym, ze smutkiem patrzę na prześcieradłem okryte lasy, na śniegi łokciowej wysokości, drzę na wspomnienie kilkustopniowych mrozów w nocy, z uczuciem czulego ornitologa dzielę dolę naszych wiernych towarzyszy, stawiających się o chłódzie i głodzie na termin wskazany, nie uwzględniając kaprysów naszej polskiej wiosny. Nadleciały miłe skowronki i nucią pieśń na cześć wiosny, lamentują czajki na białych łąkach, szu-

kając cieplic, szpaki tłumnie uganiają, zdziwione białem nakryciem bez pożywienia dla nich, gołębie sianiaki już w parach lub pojedynczo latające, o gruchaniu w tej niedoli zapomniały, gęsi ciągną nisko, bo wyżej jeszcze mroźno, nawet raszka i kos w małej ilości, wystawione na głodową śmierć, gdyż prawo przyrody nie pozwala im cofnąć się ku łagodniejszemu strefom. Jakże mam przypuścić, że słonka bez obuwia i berlaczów siądzie na tym głębokim śniegu, z którego ledwie pniaki sterczą. Być więc może, że ciąg nizinami się odbędzie i pominie gościnny Olejów, co mnie jednak wcale do dalszych poszukiwań nie zniechęci, radzę też to uczynić każdemu myśliwemu w ciągu swego życia. Istna to loterja, wiele losów bywa wygranych, wiele też przegranych, na tem nam wszakże zależeć powinno, by mając trafny numer, z własnej woli go nie stracić. Kończę tę monografię i tak za długą i nużącą, przyznaję mylność mego twierdzenia, jakoby w takich warunkach słonki nie mogły przylecieć. Otóż na to lodowate prześcieradło nadleciało w kilku pojedynczych rewirach sześć słonek; czy zostaną, trudno będzie sprawdzić, gdyż rozmoknięte śniegi i płynące wody przerwały zupełnie komunikację. Pierwszą widziano 1-go i 2-go, zaś już kilka nadciągnęło i widziano jedną ciągnącą bez świstu i chrapania.

Podaję te szczegóły drobnostkowe, aby zwrócić uwagę myśliwych na terminy przylotu ptaków, nieraz w najniekorzystniejszych warunkach; obraz to posłuszeństwa dla praw przez przyrodę wskazanych. Polo-

wanie to utrudnione jest nieco z powodu złego przystępu, zresztą słonka zrywa się w oddaleniu, przerażona białem otoczeniem, wkońcu i z tej przyczyny, że ptak jeżeli niezmęczony, daleko leci, szukając choćby małego czarnego płateczka ziemi do zapadnięcia. Z drugiej strony myśliwy, gdy dobrze zakryty, zabawi się, a czasem uśmieje, widząc te zmieniające się co chwila postacie. To karykaturalna, napuszczona, z dzióbem pionowo spuszczone, ledwie się ruszająca — to znowu podniesiona na nogach, wysmukła, uciekająca z szybkością, lub też warująca, niekiedy tuląca się do pniaka, zawsze baczna, ostrożna, zerkająca oczkami na wszystkie strony. Według mego zdania, wywiera ptak ten tak czarodziejski urok, że nawet mała ilość słonek w zupełności zadowala. Przypominam sobie słonkę ubitą po przegonionych jedenastu miotach, coś więc dziwnego, że towarzyszków mych zachęcam do pracownitego szukania słonek, przekonany bowiem jestem, że im przysporzę przyjemności w tem naszym życiu, nie zbyt ubarwionem.

Dr. Juljusz Hoffmann wydał przed kilku laty monografię słonki w Lipsku; w niej zastanawia się nad przyczynami zmniejszania się liczby słonek w ostatnich sześciu latach. Na ten ubytek skarżą się Niemcy po wszystkich czasopismach, tak w jesieni, jak na wiosnę, nawołując do powstrzymania się od polowania wiosennego. Autor rozjaśnia tę sprawę ze stanowiska praktycznego, twierdząc, że według zbieranych przez niego danych w całej Europie, ilość słonek

się nie zmniejszyła, lecz zmienił się szlak wędrówek z przyczyn łatwych do odgadnięcia, mianowicie z powodu wytrzebienia lasów, karczowania tychże, osuszania strug i bagien lesistych, ongi cieniem osłoniętych, hałaśliwej wrzawy w dawnych zaciszach i t. d. Przyznaje on szkody olbrzymie w słonkach, wyrządzane na brzegach mórz podczas ciągu, wykazuje cyfry takiej wysokości, iż uwierzyć im trudno i przekonuje o praktykowanej rzezi na ciągu i podczas zimowli słonek. Wspomina o kilku Anglikach, którzy w lasach zabili 1000 słonek na archipelagu greckim pomiędzy Patras i Pyrgos. Ten jeden przykład zimowego polowania daje wymowny obraz tępienia słonek.

Dodać muszę słów kilka o zmianie siedzib słonczych u nas z tych samych przyczyn, jak w Niemczech, z dodatkiem znacznych przestrzeni w górach, pożarami огоłoconych i równie rozległych, pozbawionych drzewa, zamienionych na pastwiska, z których słonka ustąpić musiały. Niemiec-badacz, przez całe życie pytający: *warum?* szuka nieustannie przyczyn zmniejszenia się liczby słonek i wreszcie jeden po drugim odkrywa tasiemce w trzewiach tych ptaków, mające je zabijać. Wykrycie tych soliterów wywołało polemikę, wywodzącą śmiertelność słonek z tej przyczyny. Byłoby się to mniemanie utwierdziło, gdyby nie był wystąpił dr. Leukert z argumentami, zbieraniem w ciągu swego życia. Udowodnił on, że ten gatunek tasiemców, grubości nitki wełnianej, jest właściwością tych ptaków, setki ciał anatomizował i zawsze odkry-

wał je w trzewiach, wreszcie zapewnia, że robaki te ani słonkom, ani spożywającym je ludziom nie szkoda i szkodzić nie mogą. Niejeden z nas, czytając opis tych trucicieli w słonkach, lub widząc te robaki, wzbudzające nieco wstrętu, mógłby uwierzyć w ich szkodliwość lub zbrzydzić sobie smacznego ptaka, z tej przyczyny przywiódłem zdanie uczonego doktora, zasługującego na wiarę.

Obrachowując w przybliżeniu słonki, znajdujące się w handlu na Wschodzie i Południu, zdumieć się możemy nad poważną cyfrą, wykazaną drukiem, dostarczanych słonek na targi miast portowych. Więc nie w środkowej Europie, nie u nas wybijane bywają nad miarę słonki, lecz tępione są bezmyślnie, sprzedawane po kilka centów, na wyspach i wybrzeżach. Nasze usiłowania wywrą w końcu wpływ zbawienny, gdy w każdym łowieckim czasopiśmie powtarzane będą słuszne skargi na takie barbarzyństwo, zwrócą one uwagę rządów, dbałych o utrzymanie zwierzostanu, jako części bogactwa krajów. Jeżeli rządy rozciągają opiekę nad czworonożnym zwierzem i nad ptakami, chroniąc je od zniszczenia, dlaczegożby solidarnie nie miały ustawami powstrzymać tych rzezi słonek, praktykowanych corocznie w czasie ciągów i w zimowych siedzibach.

Na zakończenie zwracam się do strzelców zbyt krewkich ze szkodą dla siebie i swych towarzyszków. Ileż to razy słyszałem: «ja strzelam, gdzie słonkę zobaczę», jak mówił, tak też czynił i słonka przebywała

często ogień szczęśliwie na całej linii, spłoszona nad miarę, usuwała się z naszego widnokregu i przepadała dla nas bezpowrotnie. Jak już wspomniałem, ptak to nader ostrożny, myślący i wyzyskujący znakomicie zdobyte doświadczenie. Bombardowane słonki przy ruchu lub głosie pogonki zrywają się cicho i odlatują w niedostępne dla nas mioty, lub też uparcie lecą ponad naganiaczy. Kto strzela do słonek, gdzie je tylko okiem dostrzeże, niewiele ich ubije i zgubnie wpłynie na skutek polowania; zresztą słonka wypłoszona, lecąca na linję, trudna jest do ubicia nie tylko z tego powodu, że szyje jak strzała, aby jak najrychlejsz wyrwać się z niebezpieczeństwa, ale też często zbyt góruje, lub płata nam rozliczne figle, na które nie jesteśmy przygotowani, więc też zwykle bywają słonki chybiane. Ze wszystkich znanych mi polowań, wliczając też polowanie na bażanty z naganiaczami, żadne nie wykazuje tak złego stosunku chybnych i trafnych strzałów, i często myśliwych ciężkim okrywa wstydem. Przez długi szereg lat liczyłem codzień strzały, bywały dnie gorączkowe, w których ledwie dziesiąty strzelec trafiał, a bywało to chybianie nawet u wytrawnych myśliwych zaraźliwe, o czem się nieraz przekonałem.

Myśliwstwo, to skarbnica tajemnic! W jednym dniu ci sami myśliwi trafnie strzelają, w innych fuszują, jak studenci na wakacjach. Wcale tu nie wspominam o słonkach podróża zmęczonych, lub o tych, którym mglista noc utrudniła lot, bo te są łatwiejsze do ubicia, lecz przeciętnie zapisuję szereg po-

lowań przez lat kilkanaście. Wzbudza też niemałe zdziwienie wytwarzająca się gorączkowość przy znacznej ilości ptaków, u wytrawnych i starych myśliwych, spotykających się oko w oko z odyńcem lub niedźwiedziem, rozzuchwalonych natarczywością psów i strzelających spokojnie. A tu niewinne długodzioby burzą im krew, wprawiają w rozdrażnienie nerwowe, a głos *tire-haut* elektryzuje ich nad miarę. Skutki te najlepiej wykazują, jaki urok wywierają słonki.

Olejów 3 kwietnia 1886.



769

Zool.

KSIEGARNIA
GUBRYNOWICZA I SYN

poleca:

	zl.
Chłędowski K. Dwie wizyty w Anglii	4—
Ciesielski T. Bartnictwo czyli hodowla pszczół dla zysku. — Gospodarka w pasiece . . .	6:80
Grzegorzewski J. Podróżnicy polscy na Wschodzie	1:50
Kłobukowski St. Wycieczka do Parany. Dziennik podróży	4—
Lityński M. Sycylja. Szkice z podróży	1—
Loziński W. Dwunasty gość. Przygoda w Radomiu. Zapatan. Pan Kasztelan. Opowiadania Imć Pana Wita Narwoja Rotmistrza Gwardji Koronnej	4:80
Luniński E. Szara droga. Nowele	2:50
Mniszek A. Jarząbek. Monografia myśliwska	3—
Niemcewicz J. Ź. Dziennik drugiej podróży do Ameryki	1:60
Samarytanin w nagłych wypadkach przed przybyciem lekarza	3—
Sapieha P. Podróż na Wschód Azji	12—
Sarnecki Z. Sny i wrażenia. Nowele	2—
Spausta W. Na tropach. Obrazki przyrodniczo-łowieckie	12—
Tatomir L. Ferje alpejskie. Wspomnienie miejsc i ludzi	2:60
Weyssenhoff J. Gromada. Powieść	6—
— Soból i panna. Cykl myśliwski, ozdobiony 85 barwnymi i czarnymi rysunkami Henryka Weyssenhoffa. Oprawne wydanie luksusowe	80—
Wodziecki Hr. K. Pan Michał. Wspomnienie myśliwskie	5—
— Wspomnienia z życia łowieckiego	6:60
— Zapiski ornitologiczne VII. Kruk	4:50
— „ „ VIII. Skowronek	3:60

Mickiewicz A. Dzieła 4 tomy w opracow. Prof.
Pigonia, oprawne 32—

6136